



Liz Fielding



Bohater jej romansu

ROZDZIAŁ PIERWSZY

- Lady March?

Ellie miała wrażenie, że język przykleił się jej do podniebienia. Popęłniła straszny błąd. Nie była żadną lady, nie nosiła arystokratycznego tytułu. Powinna natychmiast się przyznać.

- Przepraszam, że musiała pani czekać - usprawiedliwiła się Jennifer Cochrane - ale mieliśmy problem w drukarni.

Ellie uśmiechnęła się z trudem. Mimo że pożyczyła na tę okazję elegancki kostium, starannie ułożyła włosy i zrobiła mocniejszy niż zwykle makijaż, obawiała się, że w siedzibie redakcji wytwornego pisma „Milady” od razu zostanie zdemaskowana.

Nie zamierzała posunąć się aż tak daleko.

Pomysł, że mogłaby pisać do magazynu przeznaczanego dla eleganckich pań z wyższych sfer - które pomiędzy wożeniem dzieci zajmowały się jedynie plotkami z przyjaciółmi oraz zakupami - wywołał wybuch wesołości wśród członków jej klubu pisarskiego. To ją zmobilizowało. Postanowiła udowodnić kolegom - a może także sobie - że potrafi napisać wszystko.

I udało się.

Przeczytała kilkanaście archiwalnych numerów pisma i znalazła lukę, którą mogłaby wypełnić. W rezultacie powstał „Dziennik lady Gabrielli”.

W rzeczowym i eleganckim stylu, charakterystycznym dla magazynu przeznaczanego dla klas wyższych, opisała najważniejsze wydarzenia z życia kobiety - typowej czytelniczki „Milady” - matki trójki dzieci i właścicielki kilku rasowych, doskonale ułożonych psów. Cały swój czas ta elegancka kobieta poświęcała aranżacji domu i pielęgnacji ogrodu, spotkaniom towarzyskim oraz zasiadaniu w rozmaitych komitetach. Oczywiście lady Gabriella była żoną mężczyzny, którego było na to wszystko stać.

Ellie pisała z wielką swadą i znajomością rzeczy, choć w rzeczywistości wiodła zupełnie inne życie. Bez najmniejszych kłopotów wcieliła się w rolę pani domu, mimo że była tylko sprzątaczką, która opiekowała się domem pod nieobecność właściciela.

Przesłała tekst do redakcji, dołączając po namyśle kilka własnoręcznych rysunków - gotycką wieżyczkę zdobiącą dach, kota siedzącego w głębokiej wnęcie okiennej oraz małe dziecko - najmłodszą latorośl lady Gabrielli - i spodziewała się szybkiej, lecz odmownej odpowiedzi w zaadresowanej kopercie zwrotnej, którą specjalnie do tego celu przygotowała. Takich zwrotów otrzymała już w życiu wiele. Ale przecież trzeba ścigać marzenie aż do utraty tchu, nieprawdaż?

Otrzymała list zaadresowany do lady Gabrielli March z zaproszeniem na pogawędkę i powinna na tym poprzestać. Wystarczyło pokazać go członkom klubu i przyjąć wyrazy uznania. Cóż, jej to nie wystarczyło.

Niepowtarzalna szansa rozmowy z naczelną redaktor sławnego magazynu okazała się pokusą zbyt wielką, by ją odrzucić.

A zatem siedziała teraz jako lady Gabriella March w gabinecie Jennifer Cochrane, kobiety w średnim wieku, onieśmielająco dystyngowanej i stanowczej, której maniery, akcent oraz garderoba - w tym obowiązkowy, podwójny sznur pereł - znamionowały klasę.

Było za późno na ucieczkę. Ellie musiała brnąć dalej. Oddychaj głęboko, powtarzała sobie w duchu.

Udało się jej odstawić filiżankę na stolik i nie wylać zawartości na elegancki kostium, który pożyczyła na tę okazję od swojej siostry, Stacey. Wyciągnęła rękę.

- Dzień dobry, pani Cochrane.

Widocznie pani Cochrane uznała, że wszystko w porządku, ponieważ obdarzyła ją niespodziewanie ciepłym uśmiechem i gestem dłoni wskazała miejsce na sofie.

- Obydwie jesteście zajętymi kobietami, lady March, nie będę więc tracić czasu. Spodobał mi się pani pamiętnik, jak również rysunki, których użyła pani jako ilustracji.

- Naprawdę? - To zabrzmiało beznadziejnie! Ellie usiłowała powstrzymać szeroki, idiotyczny uśmiech, spowolnić pracę serca i przybrać bardziej stateczną postawę. - Dziękuję...

- Pani rysunki mają w sobie uroczą spontaniczność, jakby szkicowała pani własne myśli.

- Bo to prawda! - zapewniła gorąco Ellie, po czym jęknęła w duchu na widok uśmiechu pani Cochrane. Usiłując ratować sytuację, dodała: - Zamierzałam studiować na Akademii Sztuk Pięknych.

To akurat była prawda. Ale zdrowy rozsądek - genetyczna cecha w jej rodzinie - zwyciężył i Ellie doceniła wartość dobrego, solidnego dyplomu filologii angielskiej oraz nauczycielskich kwalifikacji. Praktyczny zawód na całe życie, w sam raz dla mężatki z dziećmi.

Wzruszyła ramionami - czy lady wypadało wzruszać ramionami? - i pozwoliła pani Cochrane wyciągnąć własne wnioski.

- To oczywiste, że wybrała pani małżeństwo i dzieci - dokończyła pani redaktor, uśmiechając się z aprobatą.

- Cóż, w dzisiejszych czasach większość młodych kobiet odkłada na później życie rodzinne.

Na szczęście, mówiąc to, z zaciekawieniem przeglądała leżące przed nią na niskim stoliku rysunki, więc Ellie miała czas, by ochłonąć.

- Czy to Chloe? - Pani Cochrane wzięła rysunek przedstawiający raczkującego bobasa. - Pani najmłodsza latorośl?

W rzeczywistości była to córeczka jednej z kobiet, dla której Ellie pracowała. Naszkicowała dziecko z pamięci. .

- Uroczą - oceniła pani Cochrane, nie czekając na odpowiedź, a potem dodała: - Będę z panią szczerą, lady March...

- Wystarczy Gabriello, proszę.

- Gabriello... Od pewnego czasu szukam kogoś, kto mógłby prowadzić rubrykę na temat stylu życia. Stylu życia naszych czytelniczek, oczywiście. Ogromnie trudno znaleźć właściwą osobę, obdarzoną talentem pisarskim i umiejętnością dotarcia do naszego odbiorcy...

Nic dziwnego, pomyślała Ellie. Tylko przedwojenne pióro mogłoby sprostać tym wymaganiom.

- Czytając różne teksty, nieodmiennie odnosiłam wrażenie, że wszystko to pastisz. Brakowało w nich szczerości, autentyczności... - Uśmiechnęła się. - Tak... szczerość jest tu niezbędna.

- To oczywiste - wykrztusiła Ellie.

- Pani styl cechuje niezwykła świeżość, odrobina zuchwałości, subtelna ironia. Tego właśnie nam potrzeba.

Czyli tego wszystkiego, co Ellie ze wszystkich sił starała się ukryć...

- Proponuję, by pisywała pani dla nas regularnie, opierając się na swoich doświadczeniach w zarządzaniu domem, wydawaniu przyjęć i tym podobnych wydarzeniach z życia rodzinnego. Nie chodzi mi jednak o pamiętnik, raczej o rozmowę z czytelnikiem, swego rodzaju pogawędkę przy kawie lub podczas lunchu z przyjaciółką.

Wszystko to brzmiało znakomicie, jeśli pominąć drobny fakt, że Ellie nie miała męża ani partnera, ani rozkosznych dzieci, ba, nie miała nawet domu. A jeśli chodzi o wydawanie przyjęć, jej doświadczenie sprowadzało się do zamawiania pizzy.

- Oto moja propozycja - ciągnęła pani Cochrane. - Wstępna umowa na sześć miesięcy, wynagrodzenie według naszych zwykłych stawek, a potem, jeśli czytelniczki zareagują pozytywnie, wrócimy do rozmowy. Zgoda?

Najgorszy z możliwych koszmarów, pomyślała Ellie posepnie. Kiedy wreszcie nastąpił przełom w jej literackiej karierze, wszystko zostało oparte na kłamstwie.

Nie mogła tego zrobić.

- Rozumiem, że potrzebuje pani czasu do namysłu - podsunęła pani Cochrane skwapliwie, gdy Ellie zwlekała z odpowiedzią. - Może chciałaby pani poradzić się męża?

- Męża...? - Ellie zaczęła się płatać. - Nie... To nie będzie konieczne.

Sean, gdziekolwiek teraz był, na pewno śmiał się od ucha do ucha.

Pokaż im Ellie! Przeleć się balonem!

Pani Cochrane naprawdę podobał się tekst. Byłaby zadowolona, gdyby Ellie przyjęła propozycję. Poza tym oznaczało to regularną pensję, no i stanowiłoby dowód dla rodziców i siostry, że Ellie nie goni za nieosiągalnym marzeniem. A w przyszłości będzie mogła pochwalić się przed wydawcami. Ostatecznie będzie pisać pod pseudonimem. To często się zdarza...

A może nie będzie musiała...

- Być może - zasugerowała - na młodsze czytelniczki mój tytuł podziała deprymująco? Może powinnam podpisywać się po prostu Gabriella March?

Pani Cochrane przez chwilę rozważała ten pomysł, po czym przecząco pokręciła głową.

- Lady Gabriella brzmi wytwornie. - A potem spytała: - Czy to tytuł rodowy pani męża, czy honorowy?

- Honorowy - odpowiedziała Ellie, skwapliwie chwytając się tej możliwości. Tytuł honorowy właściwie nic nie oznacza, prawda? Ale pani Cochrane patrzyła na nią tak, jakby oczekiwała dalszego ciągu, i Ellie nagle odniosła wrażenie, że podała złą odpowiedź. Ale było za późno.

- Przejdźmy zatem do rzeczy - powiedziała pani Cochrane, nie doczekawszy się wyjaśnień, i zajęła się szczegółami technicznymi współpracy, takimi jak liczenie słów i terminy druku. - Dobrze by było, żeby ozdabiała pani teksty swoimi ilustracjami - dodała na zakończenie.

Ilustracje to żaden problem. Ellie rysowała równie łatwo, jak oddychała - od zawsze - czasami nawet nie zdając sobie z tego sprawy.

- Być może wszystkich nie wykorzystamy, ale damy naszemu grafikowi możliwość wyboru. Oczywiście, za rysunki otrzyma pani dodatkowe wynagrodzenie. I wolałabym, zamiast fotografii, jako logo pani rubryki zamieścić właśnie jeden z rysunków. Podoba mi się na przykład obrazek pani domu...

O Boże! Jej domu.

Był to jeden z domów, którym opiekowała się pod nieobecność właściciela, starszego doktora, studiującego gdzieś na końcu świata jakiś wymierający język.

- Czy z tym nie będzie problemu? Zapewne chciałaby pani zachować odrobinę prywatności?

- Ach, to żaden problem - wtrąciła Ellie szybko. Byłby większy, gdyby pani Cochrane zechciała zamieścić jej zdjęcie. Szybko by ją zdemaskowano. Wątpliwe, by naczelną wytwornego pisma rozbawiło odkrycie, że lady Gabriella naprawdę nazywa się Ellie March i jest zapracowaną sprzątaczką i kelnerką.

A rysunki to zwykle, niewyraźne szkice: wieżyczka, jakieś okno, taras porośnięty glicynią.

- Myślę, że to znakomity pomysł.

- Dobra książka?

Głęboki, aksamitny głos przedarł się przez zimną, skłębioną mgłę wrzosowisk Yorkshire. Ellie raptownie wróciła do współczesności.

Dzisiejszego popołudnia zajęła się sprzątaniem gabinetu. Na nieszczęście jej uwagę przykuł zbiór romansów znajdujący się na górnej półce. Pochłonięta czytaniem, zapomniała o całym świecie.

Stanie na drabinie bywa czasami ryzykowne, a czytanie na najwyższym szczeblu to wręcz proszenie się o kłopoty. I właśnie to przytrafiło się Ellie.

Przestraszona, straciła równowagę, a próba jej odzyskania okazała się prawdziwą katastrofą. Drabina przechyliła się na bok i uciekła spod stóp. Ellie upuściła szmatkę do kurzu. Jedną ręką rozpaczliwie starała się przytrzymać

półki, w drugiej ścisła cenny, oprawiony w skórę wolumin. Wszystko na próżno; po chwili palce straciły kontakt z półką i Ellie runęła w dół.

Na szczęście - a może wprost przeciwnie - sprawca katastrofy wziął na siebie całą siłę upadku.

Gdyby Ellie przypominała eteryczną heroinę stojących na półce romansów lub bohaterkę własnych, niepublikowanych rękopisów, wpadłaby w jego ramiona, a nieznajomy, zaledwie na nią spojrzawszy, natychmiast by się w niej zakochał. Oczywiście, wyznałby jej miłość dopiero w ostatnim rozdziale, ponieważ mężczyźni w takich sprawach są zwykle mało pojętni.

Ale wszystko działo się w realnym świecie, a ponieważ Ellie nie była filigranową kobietką, upadła na niespodziewanego gościa jak przysłowiowy worek cementu i obydwójce wylądowali na podłodze.

Na dodatek biedak oberwał w ucho skórzaną okładką powieści.

- Idiota - wykrztusiła Ellie, choć przestraszona upadkiem nie wypowiedziała tego słowa wystarczająco dobitnie. Spróbowała ponownie: - Idiota! - Wypadło o wiele lepiej. - Mogłeś mnie zabić! - Dopiero po chwili w jej głowie zapaliło się czerwone światło. - A w ogóle... kim ty, u diabła, jesteś?

Kiedy w końcu wróciła jej jasność umysłu - włamywacze rzadko wymieniają uprzejmości ze swoimi ofiarami, czyż nie? - odpowiedź na to pytanie uderzyła ją z takim samym impetem, z jakim przed chwilą wylądowała na podłodze.

Mogła to być tylko jedna osoba.

Doktor Benedict Faulkner!

Ten sam Benedict Faulkner, którego domu pilnowała, a który powinien być teraz w odległym punkcie globu, pochłonięty studiowaniem różnic gramatycznych w językach starożytnych ludów.

Kiedy już mogła przyjrzeć się mu dokładniej, zauważyła wybitne podobieństwo do uroczego młodzieńca z wypłowiałej, czarno-białej fotografii

stojącej na pianinie w salonie. Żywy doktor był oczywiście starszy, ale z pewnością jeszcze nie w podeszłym wieku.

Zawsze wyobrażała go sobie jako siwego jegomościa w okularach i tweedowej marynarce, który spędza życie, ślęcząc nad starymi manuskryptami.

A tu nic z tego, no, może z wyjątkiem tweedowej marynarki...

Leżący pod nią mężczyzna jako żywo przypominał jednego z bohaterów jej romansów, które jej siostra uparcie nazywała bajkami dla dorosłych.

Oczywiście w ustach Stacey brzmiało to protekcyjnie, a może nawet krytycznie, ale siostra, znakomita prawniczka, była niesłychanie praktyczna i rzeczowa. Aż dziw, że miały tych samych rodziców. Chociaż w gruncie rzeczy Ellie podobało się to określenie. Tylko nudni, pozbawieni wyobraźni ludzie wyrastają z bajek, czyż nie?

Spaść z drabiny prosto w ramiona mężczyzny, który mógłby być bohaterem romansu - oto prawdziwa bajka. Tylko w bajkach zapewne mniej bolało...

Tak czy owak, podobny zbieg okoliczności nie trafiał się często, dlatego powinna wykorzystać okazję. Dla celów badawczych, rzecz jasna. Tymczasem ona, zamiast leżeć oszołomiona w ramionach doktorka, z policzkiem przytulonym do jego klatki piersiowej, zamiast wsłuchiwać się w bicie jego serca, naskoczyła na niego jak przekupka na bazarze.

Jęknęła i z powrotem przytuliła głowę do jego piersi, stopniowo odzyskując oddech i zdrowy rozsądek.

Musiała szybko zebrać myśli. Jeśli on wrócił, to oznaczało, że nie będzie już potrzebna do pilnowania domu, a więc straci dach nad głową, a co gorsza, straci też dom, który zapładniał jej wyobraźnię do pisania comiesięcznych artykułów dla „Milady”.

Gdy zdała sobie sprawę, aczkolwiek poniewczasie, że mężczyzna ani nie zareagował na jej mało wytworne zachowanie, ani się nie przedstawił, przyjrzała mu się dokładniej. Nie miało sensu udawać, że zemdląca; ten moment już

przegapiła. Wirujący natłok myśli i nadmiar wrażeń zlały się w jedno uczucie - niepokój.

- Doktorze Faulkner? Dobrze się pan czuje?

Nie wyglądał najlepiej. Miał zamknięte oczy i pobladłą, choć opaloną twarz.

Na pewno go nie zabiła. Pod jej dłonią, która jakimś sposobem znalazła się pod jego marynarką i leżała płasko na jego piersi, czuła równomierne bicie serca. Niemniej jednak to ona lub, co bardziej prawdopodobne, ciężki, oprawiony w skórę tom pozbawił go przytomności.

- Doktorze Faulkner?

Mężczyzna poruszył ustami, ale nie wydał żadnego dźwięku.

Choć sama obolała, Ellie gotowa była jednak heroicznie wcielić się w rolę Florence Nightingale. Uniosła głowę.

- Gdzie pana boli? - spytała.

W odpowiedzi usłyszała tylko ciche burknięcie.

- Przepraszam, nie zrozumiałam.

- Powiedziałem - powtórzył z zamkniętymi oczami i lekko zaciśniętymi zębami - że lepiej nie pytać. Po prostu niech pani zabierze to swoje cholerne kolano!

Kiedy Ellie zorientowała się, gdzie utkwilo jej kolano, gwałtownie uniosła się, opierając się rękami o klatkę piersiową doktora. Usłyszała kolejny jęk.

- Przepraszam - szepnęła.

W takim momencie książkowa heroina uniosłaby dłoń rannego bohatera i przycisnęła do swej piersi, jednocześnie drugą ręką odsuwając kosmyk ciemnoblonde włosów, który opadłby mu na brwi. A może nawet by go pocałowała? Jednak w rzeczywistym świecie żadna z powyższych możliwości nie wchodziła w grę. Ellie ograniczyła się zatem do krótkiego pytania:

- Czy mogę coś dla pana zrobić?

Doktor Faulkner podniósł się do pozycji siedzącej. Zrobił to bardzo powoli, jakby obawiał się, że każdy nieroztropny ruch przyniesie tragiczne skutki.

Ellie obserwowała go, co wcale nie było przykre. W żadnym razie.

Nie był zramolałym staruszkiem. Wprost przeciwnie. Gęstych, spłowiałych od słońca włosów nie dotknęła jeszcze siwizna i Ellie mogła się założyć, że w normalnych okolicznościach wyrazista, koścista twarz nie raziła bledością charakterystyczną dla ślęczących nad książkami naukowców.

A jeśli chodzi o tweedową marynarkę - wyglądała naprawdę doskonale w zestawieniu z podkoszulkiem i obcisłymi džinsami. W dodatku okrywała ramiona, których nie powstydziliby się zawodnik rugby czy wioślarz z uniwersyteckiej ósemki.

Ale oprócz pięknych włosów i wspaniałego ciała doktor Faulkner przykuwał uwagę parą niezwykłych, niebieskich oczu. Z czysto zawodowego punktu widzenia Ellie zaczęła się zastanawiać, jakimi przymiotnikami można by je opisać. Chabrowe? Nie, to zbyt pensjonarskie. Modre? Błękitne? Może... błękitne jak len? To określenie miało w sobie męski pierwiastek. Ale czy to był właśnie ten odcień niebieskiego?

- A pani? - spytał doktor Faulkner, przerywając tok jej myśli.

- Ja...? - zająknęła się, po raz drugi tego dnia przywołana do rzeczywistości.

- Kim pani, u diabła, jest?

A więc nie był nieprzytomny.

- Nazywam się Gabriella March. Pracuję dla pańskiej siostry, Adeli. Adela poprosiła, bym pilnowała pańskiego domu, ponieważ sama nie mogła się nim zająć.

- Pilnuje pani domu? Jak długo?

- Przez dwanaście miesięcy.

Profesor nie wyglądał na szczególnie zachwyconego troskliwością siostry.

- Adela spodziewała się, że długo pana nie będzie - wyjaśniła. - Zapewne miał pan ważny powód, by wrócić wcześniej.

- Czy wojna domowa wystarczy? - odparł, a po chwili spytał: - Jeśli ona wyjechała, dlaczego nie pilnuje pani jej domu?

- Adela wynajęła swoje mieszkanie. Te nowe apartamenty przy nabrzeżu są wprost rozchwytywane przez firmy poszukujące mieszkań dla swoich menedżerów. Są bardzo wygodne... - urwała, zdając sobie sprawę, jak to zabrzmiało w zestawieniu z jego starym, pełnym tajemniczych zakamarków domem, i szybko zmieniła temat. - Adela nie mogła zająć się pana domem, a ja miałam kłopoty z właścicielem mojego mieszkania, wyświadczyłyśmy więc sobie przysługę.

- Czy jest pani jedną z jej studentek?

- Och, nie. Jestem jej sprzątaczką. A aktualnie również pańską - dorzuciła.

- Sprzątam w zamian za mieszkanie, tak się umówiliśmy. Jak pan widzi, Adela oszczędza pańskie pieniądze.

- Co się stało z panią Turner? - spytał doktor Faulkner, wyraźnie nieprzekonany tą argumentacją.

- Nic. To znaczy, całkiem dużo, ale nic złego. Wygrała na loterii i zdecydowała się zmienić swoje życie.

- Ach, tak. Cieszę się.

Czy spotkała kiedykolwiek bardziej powściągliwego człowieka?

- Zrobiła pani sobie coś złego? - spytał po chwili.

Czyżby cierpiał na zaniki pamięci? Może częściowa amnezja? Ona nic nie zrobiła. Ten wypadek to całkowicie jego wina.

- W czasie upadku - wyjaśnił, jakby to było potrzebne.

- Chyba nie...

- Może powinna pani sprawdzić?

Ellie wstała z trudem i odkryła, że boli ją lewe kolano, ale nie przyznała się.

- A co z panem?

Doktor Faulkner trochę się skrzywił, ale w końcu też zdecydował się wstać. Ellie instynktownie wyciągnęła rękę, żeby mu pomóc.

Nie można powiedzieć, że się wzdrygnął, ale cofnął się, na pewno odruchowo, kiedy go dotknęła.

- Może powinien pan pojechać do szpitala?

- Wszystko w porządku - odparł, a potem spytał: - A więc gdzie ona jest?

To znaczy Adela.

Jego głos zabrzmiał ostro, jakby tylko czekał na okazję, żeby policzyć się z siostrą.

- Poluje na insekty. W Sarawaku. A może w Senegalii? Albo na Sumatrze... - Ellie wzruszyła ramionami. - Geografia nigdy nie była moją mocną stroną.

- Poluje na insekty?

Ellie zrozumiała, że nie wyraziła się dość precyzyjnie jak na wymogi filologa, więc spróbowała jeszcze raz:

- Adela prowadzi prace badawcze nad owadami. - Uznała, że już dość dyskusji na ten temat. - Pańska siostra wyjechała na sześć miesięcy i chciała, żeby ten dom wyglądał na zamieszkały. Ze względów bezpieczeństwa.

Zapalanie świateł, koszenie trawnika, takie sprawy.

- W zamian otrzymała pani możliwość zamieszkania tu za darmo?

- To korzystny układ. Większość osób zajmujących się czymś mieszkaniem oczekuje nie tylko pensji, ale również pokrycia wydatków na życie - zapewniła go, jednocześnie starając się wypróbować sprawność nóg. Przeszywający kolano ból zapowiadał niezbyt przyjemny wieczór. - I nie sprzątają za darmo.

- Z pewnością nie. - Doktor przyglądał się jej ruchom nie bez zdziwienia.

- Czy dałaby pani radę odkurzyć kolejną półkę?

- Chyba jestem w jednym kawałku - odpowiedziała Ellie, ale poczuła na ciele dziwny dreszcz. Dopiero teraz pojęła, że udało się jej wyjść z opresji obronną ręką. Obydwojgu im się udało. - Dlaczego, na Boga, podkradł się pan do mnie tak niepostrzeżenie? - spytała z wyrzutem.

- Niepostrzeżenie? *Madame*, była pani tak pochłonięta lekturą, że nie zauważyłaby pani stada słoni.

Madame?

Doktor pochylił się, podniósł książkę i mrużąc oczy, przeczytał tytuł na grzbiecie.

- „Wichrowe wzgórza”?

Ton jego głosu był równie lodowaty jak podmuchy wschodniego wiatru na wrzosowiskach w Yorkshire. Co prawda, doktor Faulkner nie zamierzał zabić Ellie, ale najwyraźniej czuł się upoważniony, by krytykować jej gust literacki.

- Potrafi pan czytać? - Wypowiedziała te słowa tonem uprzejmego niedowierzania. Wyraźnie trafiła w dziesiątkę, bo kiedy zwrócił na nią swoje niebieskie oczy, zastanowiła ją zmiana ich koloru.

Były teraz szarobure, prawie czarne.

- Jeśli ktoś mi pomoże przy dłuższych słowach - zapewnił po bardzo długiej chwili milczenia.

A więc, do licha, miał poczucie humoru. Ellie oczekiwała teraz uśmiechu, gotowa mu wszystko wybaczyć i odpowiedzieć tym samym. Nie należała do kobiet, które długo chowały urazy.

- Ale trudzę się tylko wtedy, kiedy uznam, że warto - dokończył z kamienną twarzą i poklepał się po górnej kieszeni marynarki. - Czy może zauważyła pani, co się stało z moimi okularami? - spytał, oddając jej książkę.

Ellie miała ogromną ochotę przyłożyć mu nią z drugiej strony głowy i powiedzieć, żeby sam sobie szukał swoich cholernych okularów, ale... lubiła mieszkać w jego domu.

Było coś szczególnego w czyszczeniu dębowej poręczy schodów, wypolerowanej dotykiem rąk wielu pokoleń. Kiedy Ellie sprzątała staromodną łazienkę, myślała o tych biednych kobietach, które sto lat temu stały w tym samym miejscu z rękami unurzanyymi po łokcie w wodzie z sodą. Lubiła spać w małym pokoiku w okrągłej wieży, którą dobudował jakiś ambitny, pnący się po szczeblach drabiny społecznej wiktoriański kupiec, uważając, że w ten sposób doda splendoru domowi.

Jaka szkoda, że doktor Faulkner nie pozostał tam, gdzie był. A może to tylko przelotna wizyta?

Niestety, bardziej prawdopodobne wydawało się, że zostanie na dłużej, a Ellie, oprócz ustnej obietnicy Adeli i uścisku dłoni, nie miała żadnej umowy, która chroniłaby ją przed natychmiastowym wyrzuceniem na ulicę.

Zaczęła rozglądać się w poszukiwaniu okularów i po chwili zauważyła je pod stolikiem.

Były to niezwykle awangardowe okulary - bez oprawek, same soczewki połączone drucikiem. Kiedy Ellie je wyciągnęła, rozpadły się w jej dłoni na kawałki.

ROZDZIAŁ DRUGI

Benedict Faulkner bez słowa otworzył szufladę, wyjął z niej identyczne okulary i położył na biurku.

Czy szerokie ramiona i niebieskie oczy wystarczą? - rozważała Ellie. Czy mężczyzna może być prawdziwym bohaterem, jeśli nie ma poczucia humoru?

Cóż, zapewne doktor Faulkner nie czytywał romansów.

Wsadziła resztki okularów do kieszeni fartucha i powiedziała:

- Jak mniemam, Emily Bronte nie jest pana ulubioną pisarką.

- Heathcliff jest chory psychicznie, a Catherine Earnshaw jest głupsza niż but - odparł, potwierdzając jej przypuszczenia.

Zbyt surowa krytyka, ale Ellie zamiast się spierać, powiedziała

- A namiętność? Co z namiętnością?

- On jest psychotycznie namiętny, a ona namiętnie głupia - wyjaśnił.

Zdając sobie sprawę, że ta rozmowa prowadzi donikąd, Ellie postanowiła zmienić temat. Podjęła próbę udowodnienia doktorowi, że jest tu właściwą osobą na właściwym miejscu, bezcennym dodatkiem do jego gospodarstwa domowego.

- To piękne, stare wydanie - powiedziała. - Zapewne bardzo cenne.

Doktor zerknął na półkę, którą miała odkurzać, po czym wzruszył ramionami.

- Ta książka prawdopodobnie należała do mojej prababki - odrzekł, a z tonu jego głosu nie wynikało, by uznawał ją za wartościową pamiątkę rodzinną. Raczej uważał, że prababka miała, podobnie jak Ellie, kiepski gust literacki. - Tej, która uciekła z ubogim poetą.

To dziwne. Słowa, które w założeniu miały zmiażdżyć, podziałały na Ellie pobudzająco.

- Sądząc z grubej warstwy kurzu, pańska prababka była zapewne ostatnią osobą, która do niej zaglądała.

Na potwierdzenie swoich słów Ellie otworzyła książkę, po czym raptownie ją zamknęła, wzbijając w powietrze tuman kurzu. Długi atak kaszlu był naprawdę niezamierzony, ale posłużył jako dodatkowy dowód.

Doktor Faulkner nie zrobił nic, by jej pomóc - nie próbował poklepać jej po plecach ani nie pobiegł po szklanek wody. Wprost przeciwnie, zachowywał bezpieczny dystans, czekając, aż do siebie dojdzie, po czym podniósł ścierkę i wręczył jej bez słowa.

Ellie starannie wytarła okładkę.

- Książki powinny być odkurzane przynajmniej raz do roku - wyjaśniła.

- I właśnie to pani robiła, kiedy wszedłem?

Czyżby jego twarz przybrała odrobinę cieplejszy wyraz? Wprawdzie nie był to jeszcze uśmiech, ale doktor na pewno poruszył mięśniami twarzy.

- Odkurzała pani? - dodał.

Nie, to tylko sarkazm. Doktor był pełnym sarkazmu cynikiem. W dodatku pozbawionym poczucia humoru.

Na szczęście, zanim Ellie zdążyła coś powiedzieć, zegar kominkowy wydzwonił pół godziny.

- O Boże! - wykrzyknęła zaskoczona. - Czy to możliwe? Zerknęła na swój zegarek i zobaczyła, że późni się dziesięć minut. - Kiedy odkurzam książki, tracę poczucie czasu.

- Być może powinna pani skoncentrować swoje siły na czymś, co panią mniej absorbuje?

- Wszystko w porządku. Jestem przygotowana na cierpienie - zapewniła, przesuwając drabinkę z powrotem na właściwe miejsce. Wprawdzie nie miała szczególnej ochoty znów się po niej wspinać, ale prędzej czy później i tak musiała to zrobić. To tak jak z upadkiem z konia - najlepiej natychmiast wsiąść z powrotem. - Nienawidzę zostawiać niedokończonej pracy.

- To naprawdę godne pochwały, ale będę wdzięczny, jeśli zrobi to pani innym razem. Teraz muszę wykonać kilka telefonów.

Ellie zignorowała oświadczenie doktora. Nie miała zamiaru uciekać mu sprzed oczu jak pierwsza lepsza studentka. Na powrót zajęła się swoją pracą.

- Czy długo jeszcze pani tu będzie, panno March? - spytał, kiedy pieczołowicie odkurzała półkę.

Kolejny sposób na okazanie rezerwy. Kto jeszcze zwraca się dziś do kobiety „panno”? Chociaż właściwie wołała to od „madame”.

- Mam na imię Gabriella - przypomniała. To był jej sposób na zachowanie dystansu. Wszyscy nazywali ją Ellie. Imienia Gabriella używała tylko przy specjalnych okazjach. Gabriella March, wytłoczone złotymi literami na okładce jej pierwszej książki, miało wyglądać bardzo dostojnie. Gdy już zeszła z drabiny, tym razem w konwencjonalny sposób, dodała: - I jestem panią, panią Gabriellą March.

Doktor zdjął okulary i zwrócił ku niej twarz.

- Panią?

- Tak. A jeśli trudno to panu zapamiętać, może być Ellie. - Teraz ona pozwoliła sobie na sarkazm.

- Ellie?

- To niezbyt trudne, nieprawdaż? - Wprawdzie on nie zaproponował jej, by nazywała go Benem, co zresztą nie było niespodzianką, ale nagle odkryła, że chce, by mówił do niej po imieniu. - Czy mogłabym jeszcze coś zrobić? - spytała.

Jego spojrzenie mówiło wyraźnie, że zrobiła więcej, niż trzeba.

- Nic. Dziękuję... Ellie.

Zauważyła, że zmusił się, by wypowiedzieć jej imię. O co chodzi? Przecież nie usiłowała z nim flirtować. Może był przystojny, może chwilami zdradzał nawet poczucie humoru, ale ona nie miała zamiaru go podrywać. Chciała jedynie pomieszkać tu jeszcze przez jakiś czas...

- Jeśli będzie pan głodny, proszę wziąć sobie coś z lodówki - powiedziała.

- Kupiłam mleko, jajka... - A ponieważ nie doczekała się pełnej wdzięczności

odpowiedzi, właściwie żadnej odpowiedzi, dodała, wychodząc już z pokoju: -
Do zobaczenia później, być może.

Doktor Benedict Faulkner z łatwością ukrył zachwyty z powodu tej perspektywy.

Ellie zignorowała porzucony w kuchni plecak doktora Faulknera. Prawdopodobnie był pełen brudnych rzeczy. Miała wielką ochotę wrzucić je do pralki, ale się powstrzymała.

Wytarła drewniany blat, zmieniła wodę w wazonie z polnymi kwiatami i uporządkowała stojące w sieni buty. Zawsze trudno jej było wyrwać się z tego domu. Miała wrażenie, że jest osamotniony i potrzebuje jej.

To było po prostu śmieszne.

Pomyślała, że powinno tu zamieszkać dwoje ludzi, którzy kochaliby ten dom, dbali o niego i wypełnili go dziećmi. Szczęśliwa rodzina wnosząca powiew życia do cichych pokoi; dzieci grałyby wprawki na pianinie i budowały domki w ogrodzie, a pani domu powinna mieć dużo czasu, by go pielęgnować i zamienić w prawdziwy dom. Tu potrzebny był dokładnie ktoś taki jak lady Gabriella i jej rodzina, którą Ellie ostatnio wyczarowała w swojej wyobraźni. Ośmioletni Oliver, sześciolatka Sasha oraz mała Chloe. I jakaś niewyraźna męska postać - z pewnością nie ten mężczyzna, którego kochała, poślubiła i utraciła, to nie było jego miejsce - ale ktoś zupełnie inny, ktoś, czyjej twarzy nie nadała jeszcze konkretnych rysów.

Czas wyjść. Ellie wzięła swój plecak, ale tuż za kuchennymi drzwiami przykuły jej uwagę przywiedle bratki w zapuszczonym, kamiennym kwietniku. Wyglądało na to, że ostatnią osobą, która do nich zaglądała, była również prababka doktora Faulknera.

Ben Faulkner, stojąc w gotyckim oknie gabinetu, obserwował, jak Ellie March usiłuje wsiąść na staroświecki rower, podobny do tego, jakim jeździła jego prababka. Ta lekkomyślna prababka, która zaczytywała się w romansach i w końcu wywołała skandal.

Pomyślał, że gdyby teraz żyła, zapewne tak jak Ellie March nosiłaby dzinsy biodrówki, głęboko wycięty podkoszulek i złoty koleczyk w pępku. W takim stroju Ellie stanowiła zagrożenie dla ruchu drogowego.

Zamknął oczy, przywołując w pamięci chwilę, kiedy stanął w drzwiach gabinetu i zobaczył ją na drabinie, zatopioną w lekturze. Odniósł wtedy wrażenie, jakby czas się cofnął.

Do licha, to głupie!

Natasza była eteryczną, jasnowłosą pięknoscią, przeciwieństwem mocniej zbudowanej, prostolinijnej Ellie March.

Natasza nie traciła czasu na czytanie dziewiętnastowiecznych romansów. Czytała Jewtuszenkę lub Turgieniewa. Po rosyjsku.

Jednak pomimo wszystko, choć wiedział, że to tylko iluzja, ta nieznajoma kobieta go zafascynowała.

Dlaczego jego siostra nie zajmowała się własnymi sprawami? W co ona go wplątała?

Do licha, ostatecznie musiał dać tej dziewczynie czas, by znalazła sobie jakieś lokum.

To może potrwać całe tygodnie, rozważał, prostując ramiona i rozciągając mięśnie, które nadwreżył, kiedy na niego spadła, a potem leżała na nim, ciepła i miękka, jak uosobienie kobiecości, marzenie każdego mężczyzny. Trzymała rękę na jego sercu, a jej włosy muskały jego policzek Przymknął oczy, próbując przywołać w pamięci doznania tamtej chwili...

Głupiec!

W orzechowych, błyszczących oczach Ellie było coś, co wzbudzało w nim uczucie, które, jak sądził, już dawno umarło i którego wcale nie chciał wskrzeszać.

Otrząsnął się z niedorzecznych fantazji i obserwował, jak Ellie próbuje ruszyć. Ledwie przełożyła ciężar ciała na jedną nogę, raptownie się zatrzymała; rower się przewrócił. Ze złości wymierzyła mu kopniaka.

Błąd. Po chwili leżała na ziemi.

Ben ruszył jej na pomoc.

- Dlaczego nie przyznałaś się, że upadając, uszkodziłaś sobie kolano?

Kiedy Ellie zobaczyła, że Benedict Faulkner zmierza ku niej na swych długich, zwinnych nogach, ból przysłoniło uczucie zadowolenia, które, jeśli miałyby czas na zastanowienie, wywołałoby rumieniec na jej policzkach. Jednak ledwie otworzył usta, stało się jasne, że nie był rycerzem w srebrnej zbroi przybywającym na ratunek.

Wzruszyła ramionami.

No cóż, ona też nie była Ginewrą, niemniej należała się jej odrobina współczucia. A tymczasem jej widok znów go zirytował.

Na czym polegał problem?

Przecież to nie ona weszła mu w drogę. Wprost przeciwnie, to on znalazł się w niewłaściwym miejscu w nieodpowiednim czasie.

Ellie obserwowała, jak podnosi rower i opiera go o ścianę.

Hej, tutaj jestem! Leżę na podjeździe, pogrążona w cierpieniach...

Gdy już ustawił rower, zwrócił się do niej:

- Czy możesz wstać?

- Będę musiała, jeśli nie chcę tkwić tutaj przez cały wieczór.

Powinna jeszcze dodać: ty tępy idioto. Kiedy w końcu się poruszyła, powiedział:

- Poczekaj!

- Na co? - Spojrzała na niego. - Na święta Bożego Narodzenia?

W odpowiedzi podał jej rękę.

To już lepiej. Zwłaszcza że miał takie ręce, jakich pisarka romantycznych powieści oczekiwałaby po swoim bohaterze. Mocne dłonie, długie palce, szerokie paznokcie kciuków. Nie były to gładkie i miękkie dłonie jak u większości naukowców; Ellie zauważyła odciski, blizny po małych ranach, otarcia i wyraźne, czerwone ślady, jakby po oparzeniach.

Uchwyciła się tych dłoni, a on pociągnął ją i postawił na nogi, w ogóle na nią nie patrząc, jakby była workiem kartofli. Ale mimo to poczuła się przez moment jak delikatna heroina romansu.

Tylko jego słowa stale psuły efekt.

- No i jak noga?

- Doskonale - odparła, puszczając jego rękę.

Przez moment myślała, że wszystko jest w porządku, ale po chwili, kiedy popełniła błąd i skrzyła ciało, sięgając po plecak, wydała mimowolny jęk bólu.

- Naprawdę doskonale? - Podtrzymał ją za łokieć.

- Kolana są zdradliwe - powiedziała, łapiąc oddech. Do licha, mógłby być bardziej uprzejmy i współczujący. - Ale będzie dobrze.

- Dokąd się wybierasz? - spytał.

- Do Hali Zgromadzeń w centrum miasta, na przyjęcie dla Izby Handlowej.

- Jesteś jej członkiem?

Wpatrywała się w niego przez chwilę. Żartował sobie? Z wyrazu jego twarzy niczego nie można było wyczytać.

- Nie. Idę tam do pracy - niemal warknęła, a widząc jego skonsternowaną minę, dodała: - Będę kelnerką - wyjaśniła. - Drinki, przekąski...

- Rozumiem. - Objął ją zamyślonym spojrzeniem niebieskich oczu. - Mam nadzieję, że nie weźmiesz mi za złe, gdy przyznam, że twoje ubranie wydaje mi się nieco zbyt swobodne. Czy w tym fachu nie nosi się już uniformu - skromnej, czarnej sukienki i białego fartuszka?

- Jeśli chce pan wiedzieć, doktorze Faulkner, uniform mam w plecaku. - A przynajmniej jego współczesną wersję. Czarne spodnie i białą koszulę. - Wraz z czarnymi podwiązkami i pończochami - dodała nonszalancko, poirytowana jego sarkazmem. - Niestety, policja zabroniła mi jeździć w takim stroju na rowerze. A jeśli już o tym mówimy - wzruszyła ramionami i wyjęła telefon - wezwę taksówkę.

- Co takiego? - Drugi raz udało się jej skupić na sobie całą jego uwagę. Zaczynało ją to bawić. - Nie mówisz poważnie. Nie możesz cały wieczór być na nogach. Na pewno znajdą kogoś na zastępstwo.

- To właśnie ja jestem tym zastępstwem - poinformowała, przeszukując książkę telefoniczną w komórce. - I nie mogę zawieść Sue - dodała, chociaż obsługiwanie gości na przyjęciach nie należało do jej ulubionych zajęć. Wołała nawet czyszczenie piekarników.

- Kto to jest Sue?

- Moja najlepsza przyjaciółka, jeszcze z przedszkola, chociaż bardzo się różnimy. - Znalazła wreszcie numer i nacisnęła zielony klawisz. - Dlatego ona prowadzi agencję Pracowite Pszczółki, a mnie płaci za to, że wdzięcznie krążę z tacami drinków i kanapek. Do diabła, zajęte!

- Zostaw to! - przerwał jej, kiedy ponownie wybierała numer, a na wypadek, gdyby chciała go zignorować, zacisnął długie i silne palce wokół jej dłoni.

Jak śmiał!

Ellie popatrzyła na jego rękę, a potem podniosła wzrok.

- Co pan, u diabła, robi?

- Usiłuję cię powstrzymać przed zrobieniem z siebie idiotki.

- Doceniam pańską troskę i zapewniam, że gdybym miała możliwość wyboru, nie zrobiłabym tego - oświadczyła, a ponieważ doktor Faulkner nie wyglądał na przekonanego, dodała: - Naprawdę. Na dzisiejszy wieczór planowałam bardziej interesujące zajęcia.

Przez moment odniosła wrażenie, że zamierzał indagować ją dalej, ale zapewne zreflektował się, ponieważ powiedział:

- No cóż, jeśli nalegasz, nie pozostaje mi nic innego, jak podwieźć cię na miejsce.

- Nie musi pan tego robić!

- Ależ tak, pani March, muszę.

- Ellie, proszę. - Może jednak źle go oceniła?

- Ale dopiero wtedy, kiedy założysz opaskę na kolano. W przeciwnym razie zawiozę cię do szpitala - zagroził i nie czekając, aż dokona wyboru, objął ją ramieniem.

Musiał to być dla niej szok, ponieważ zeszywniała i nie powiedziała: spadaj, wezmę taksówkę, chociaż te właśnie słowa cisnęły się jej na usta. - Jak zdołasz odganiać złodziei i kosić trawę, jeśli będziesz przykuta do łóżka?

Podpierając się na jego ramieniu, przycisnęła do miękkiego materiału jego marynarki, czuła, że słowa więzną jej w gardle.

- To śmieszne...

- Zgadzam się. Powinnaś teraz leżeć z zimnym kompresem na nodze. Może, jeśli skuszę cię jakąś książką z mojego bogatego księgozbioru staroświeckich romansów, przemyślisz sprawę?

Mógłby mnie skusić, pomyślała Ellie ze zdumieniem. Pomimo braku poczucia humoru i daleko posuniętej apodyktyczności, podobał się jej... Ale będzie ostrożna.

- Może kiedy indziej - odrzekła. Zabrzmiało to tak, jakby brakowało jej tchu. Strasznie żałośnie.

- To jednorazowa propozycja. Z powodu twojego kolana.

- Rozumiem. - Przełknęła ślinę i zebrała się w sobie. - Ale sama potrafię o siebie zadbać. Jedźmy już.

- Jednak ten wypadek to częściowo moja wina.

- Częściowo?

Doktor Faulkner wzruszył ramionami.

- Zgoda, biorę na siebie pełną odpowiedzialność. Jednak nie sądzę, by to kopnięcie w rower polepszyło sprawę.

Och, do licha, oczywiście, widział jej dziecinny wybuch!

- I jako twój pracodawca, aczkolwiek mimowolny, będę nalegać, byś zachowała podstawowe środki ostrożności. Na wypadek, gdybyś przez dłuższy czas nie była zdolna do pracy i zdecydowała się mnie pozwać...

- No i kto tu jest śmieszny? Naprawdę lubię tu mieszkać! - A co ważniejsze, mieszkała tu lady Gabriella, która znakomicie opiekowała się domem, nawet jeśli robiła to tylko na papierze. - Uwielbiam mieszkać w tej śmiesznej, małej wieży i...

- Naprawdę?

Mógł się bardziej postarać, by ukryć swoje rozczarowanie.

- Naprawdę. - Ten dom ją inspirował. - Dlaczego miałabym narażać się na takie ryzyko? - A potem wzburzona dodała: - A poza tym to Adela jest moją pracodawczynią, nie pan.

- Skoro ja jestem właścicielem domu, to kwestia sporna.

- Umowę podpisałam z nią, więc nie mogę skarżyć pana, nieprawdaż? A może powinien pan z nią o tym porozmawiać? - zasugerowała.

- Nie omieszkam.

Jego siostra, wyjeżdżając tak daleko, nie chciała zawracać sobie głowy nieprzewidzianymi problemami, takimi jak zamarzające rury, dzicy lokatorzy czy odpadające dachówki. W ogóle nie chciała sobie zawracać głowy tym domem. Właściwie dała całkiem jasno do zrozumienia, że brat powinien go sprzedać i kupić coś nowoczesnego, łatwego w utrzymaniu.

Może dlatego Ellie wyobrażała sobie doktora Faulknera jako starego człowieka, zatopionego w swoich zakurzonych książkach.

- Proszę posłuchać - powiedziała, spoglądając na zegarek, ponieważ trudno jej było myśleć, kiedy patrzyła na niego. - Jeśli zaraz nie wyruszymy, spóźnię się.

- A więc im szybciej przestaniesz się spierać, tym lepiej.

Doktor Faulkner nie zawracał sobie głowy czekaniem na ustępstwa. Poderwał ją z ziemi, a zatem nie pozostawało jej nic innego, jak zarzucić mu

ramiona na szyję i pozwolić się przenieść przez frontowe drzwi, a potem przez hol prosto do kuchni.

Miał taką wspaniałą szyję - silną, o gładkiej skórze - jedwabiste włosy i ładnie pachniał. Niczym specjalnym - po prostu tweedem, skórą, czyli bardzo męsko. Bez wątplenia ten mężczyzna był znakomitym materiałem na bohatera romansu. Musiał się tylko rozchmurzyć, uśmiechnąć od czasu do czasu.

Posadził ją na kuchennym krześle i przytrzymał przez moment, prawdopodobnie w obawie, że skoczy na równe nogi i ucieknie.

Zauważyła, że miał nie tylko zadziwiająco niebieskie oczy, ale również cudowne, długie rzęsy.

- Gdzie jest apteczka?

Zarumieniła się gwałtownie, kiedy zorientowała się, że on wcale jej już nie trzyma. Wprost przeciwnie, to ona nadal obejmowała go ramieniem za szyję, przyczepiona do niego jak rzep do psiego ogona.

- Pod zlewem. Białe pudełko z czerwonym krzyżem...

Obserwowała z zaciekawieniem, jak szukał bandaża, potem wyjął butelkę zimnej wody z lodówki, wylał jej zawartość do miseczki, a następnie wrzucił bandaż do wody.

Och, nie...

- Niech pan nie zbliża się z tym do mnie!

- Nie? - Lekko wyjął bandaż, po czym spojrzał na nią.

- Myślałem, że lubisz tu mieszkać.

Poniewczasie zdała sobie sprawę, że nie powinna była mu tego mówić. Wiedza to potęga. Teraz mógł ją wykorzystać.

- Czy możesz sama zdjąć dzinsy? - spytał. Co takiego?

- A może mam rozciąć nogawkę? - Podniósł nożyczki i teatralnie przeciął nimi powietrze. - Twój wybór - ponaglił.

- Nie! - Do kapitulacji skłonił ją nie tylko fakt, że były to jej ulubione spodnie. Denerwujące było przede wszystkim to, że musiała przyznać mu rację.

Bez opatrunku na kolanie nie wytrzyma nawet pięciu minut wyczerpującej pracy na przyjęciu. W ogóle by się jej nie podjęła, gdyby Sue rozpaczliwie nie potrzebowała kelnerki. Właśnie dziś wieczór miało odbyć się spotkanie klubu pisarskiego, a z powodu tego przyjęcia straci przynajmniej pierwszą połowę.

- Proszę poczekać - powiedziała, rozpięła guzik i dała Benowi czas, żeby się odwrócił.

Zresztą chyba zupełnie niepotrzebnie. Przecież i tak za chwilę miał ją zobaczyć bez spodni. W dodatku miała na sobie krótką bluzeczkę, więc niczym nie osłoni majtek...

Nie była pewna, czy czuła ulgę, że założyła dziś skromne, wygodne białe majtki, czy raczej żałowała, że nie ma na sobie purpurowych, wysoko wyciętych biodrówek, które nosiła na specjalne okazje. Dopiero by się zarumienił i pożałował swojego rozkazu!

Pozwoliła, by dzinsy opadły jej do stóp, ale nie odważyła się kopnąć ich na bok, z obawy, żeby się nie urazić.

Doktor Faulkner, niewzruszony widokiem jej nagich nóg, podniósł spodnie i rzucił na krzesło, po czym uniósł jej nogę, oparł o swoją i zaczął obmacywać kolano. Przez cały czas obserwował jej twarz. Zadowolony, że nie zrobiła sobie poważniejszej krzywdy (na szczęście udało się jej zachować dzielny wyraz twarzy), z wprawą człowieka, który doskonale zna się na rzeczy, owinał kolano lodowatym bandażem.

- Jak się teraz czujesz?

- Noga zdrętwiała mi z zimna.

- Za godzinę będziesz żałować, że go nie czujesz. Możesz chodzić?

Ellie chwyciła go za rękę i zrobiła krok na sztywnej nodze.

- Chyba tak. Dobra robota, doktorku.

Spojrzenie, jakim ją obdarzył, świadczyło, że nie docenił dowcipu, ale dał sobie spokój.

- Na chwilę pomoże, chociaż zapewne „wdzięczne krążenie” wśród gości będzie dziś wieczorem nieco utrudnione. - Podał jej spodnie. - Podjadę pod drzwi, a ty tymczasem się ubierz.

Ellie postanowiła nie zakładać džinsów; skoro nie jechała na rowerze, mogła oszczędzić czas i przebrać się już teraz. Ściągnęła bluzkę, pod którą miała swój ulubiony stanik z białej koronki. Jaka szkoda, że nadwreżyła sobie kolano. Ciekawe, czy doktor Faulkner zachowałby równie niewzruszoną twarz, gdyby bandażował jej obojczyk...

Uśmiechając się idiotycznie do własnych myśli, wyciągnęła z plecaka czarne spodnie i bluzkę. Dopiero kiedy zapięła wszystkie guziki, odwróciła się - bardzo ostrożnie - i zobaczyła Benedicta Faulknera stojącego w drzwiach.

Przypuszczała, że cierpliwie będzie na nią czekał w samochodzie.

Jak długo tam stał?

- A więc kłamałaś, że zakładasz pończochy i podwiązki?

- Pobieram za nie dodatkową opłatę - odparła, kuśtykając do drzwi. - A Izba Handlowa nie jest zbytnio rozrzutna. O! Spodziewałam się Morrisa Adeli - niemal wykrzyknęła na widok oszałamiająco pięknego, starego sportowego wozu. - Skąd on się tu wziął?

- Zostawiłem go u znajomej na czas wyjazdu.

Nie mogąc zgiąć nogi, zmuszona była opaść na tylne siedzenie, a następnie unieść sztywną nogę i wyciągnąć ją przed sobą.

- Skoro zadał pan sobie trud, żeby go odebrać, rozumiem, że zostanie pan tutaj przez jakiś czas - podjęła.

- Spędziłem u tej znajomej dwa dni, aby odespać różnicę czasu - powiedział. - Ale masz rację. Przez najbliższy tydzień lub dwa nigdzie się nie wybieram.

Spał u znajomej!

Targały nią mieszane uczucia, w końcu jednak pogrzyżyła się w ponurym rozpatrywaniu rysującego się przed nią problemu mieszkaniowego.

- O której mam po ciebie przyjechać? - spytał, zatrzymując się przed Halą Zgromadzeń.

- Och, nie ma takiej potrzeby - odparła Ellie, po czym otworzyła drzwi i natychmiast zdała sobie sprawę, że jeśli przy wsiadaniu wystarczyło rzucić się na siedzenie, to przy wysiadaniu nie obejdzie się bez czyjejs pomocy. -

Wybieram się jeszcze na zebranie... - mówiła, podczas gdy doktor Faulkner wysiadł z samochodu i obszedł go dookoła - w bibliotece miejskiej. Jestem pewna, że ktoś mnie potem odwiezie...

Podał jej rękę, ale zwlekał z natychmiastowym wyciągnięciem jej z auta.

- Jesteś tego pewna?

Właściwie była pewna, ale kiedy trzymał jej dłoń, miała problemy z oddychaniem. Tymczasem on wziął jej wahanie za przejaw niepewności.

- O której mam cię odebrać z biblioteki? - nalegał.

- Zwykle potem... idziemy do pubu - wyjąkała.

- Prowadzisz bogate życie towarzyskie, Ellie - skomentował. - Ale jeśli zamierzasz wysiąść z tego samochodu, sugeruję, żebyś wreszcie powiedziała, o której po ciebie przyjechać.

Ellie była rozdarta pomiędzy wściekłością z powodu jego dyktatu a niewątpliwą przyjemnością, że może przyjechać po nią seksowny mężczyzna wspaniałym, zabytkowym autem.

Och, naprawdę była już spóźniona!

- W porządku, doktorku, wygrałeś.

- Ben - powiedział. - Wystarczy Ben.

- Ben. A więc o dziewiątej. W bibliotece.

Wyraźnie zadowolony pomógł jej wysiąść, po czym poprowadził ją po schodach do środka budynku. Dopiero wtedy pozwoliła sobie na pełen satysfakcji uśmiezek. Pierwszy cel został osiągnięty. Poprosił, by zwracała się do niego Ben.

Następnym celem będzie jego uśmiech. Oczywiście wyłącznie dla jego dobra.

ROZDZIAŁ TRZECI

Dla Ellie ten wieczór nie należał do udanych. Przyjęcie, na którym było mnóstwo gości, skończyło się dobrze po ósmej. Zanim pomogła posprzątać, dochodziła dziewiąta i większość członków klubu literackiego przeniosła się już do pubu.

Diana Sutton, sekretarka, która właśnie miała zamykać, wyraziła swoje współczucie.

- Co za pech! Ale nie martw się, chodź na drinka. Mamy co oblewać. Gary sprzedał krótkie opowiadanie, a Lucy artykuł do „Świata Kobiety”.

- Naprawdę? Wspaniałe nowiny!

- A tobie udało się coś zamieścić w „Milady”?

Podekscytowana Ellie poczuła, że nagle coś ściska ją w gardle. Nie wiedziała, co odpowiedzieć. Chciała udowodnić kolegom, że potrafi napisać, co tylko zechce, ale kiedy sukces przerósł jej najśmielsze oczekiwania, nie była w stanie się nim pochwalić. A przecież to byli jej przyjaciele...

- Och, nie przejmuj się - powiedziała Diana, uznając milczenie za negatywną odpowiedź.

Nie, to byli przyjaciele Seana. To on pisał wiersze. To było jego środowisko. Przyszła tu za nim. Sean i Ellie. Ellie i Sean. Zaczęła pisać historyczny romans, ponieważ... cóż, musiała coś robić. Nikt, a na pewno nie Sean, nie traktował jej pisaniny poważnie.

- Przepraszam - powiedziała Diana do kogoś, kto wszedł do środka. - Biblioteka jest zamknięta.

- Przyjechałem po Ellie.

Na widok Bena Faulknera Ellie ucieszyła się bardziej, niż mogła przypuszczać dwie godziny temu. Nie potrafiłaby dziś wieczorem siedzieć w pubie z tymi wszystkimi ludźmi.

- W samą porę, doktoru - powiedziała i zwróciła się do Diany: - Nie pójde dziś do klubu. Przekaż Lucy i Gary'emu, że zzieleniałam z zazdrości.

- Zgoda. A więc, do zobaczenia w przyszłym miesiącu? Czy tak?

- Jeśli obowiązki mi pozwolą - odpowiedziała Ellie wymijająco, doskonale wiedząc, że nie przyjdzie. Nie mogłaby. Właściwie nikogo nie okłamała, ale nie mówiąc prawdy, odcięła się od nich. Odcięła się od przeszłości.

Pełna ponurych myśli, opierając się o ramię Bena, zeszła ze schodów. Musiał zapamiętać dynamiczny sposób, w jaki opadła na siedzenie, ponieważ tym razem delikatnie pomógł jej przy wsiadaniu. Niewątpliwie miał na względzie sprężyny lub zawieszenie, albo coś innego, o co zwykle obawiają się mężczyźni w swych bezcennych wozach.

Gwałtownie szarpnęła pas, bezskutecznie usiłując go zapiąć.

- Delikatnie - poinstruował ją Ben, siadając za kierownicę, a ponieważ jego uwaga nie poskutkowała, dodał:

- Zostaw to mnie. - Odwrócił się, sięgnął po pas, przeciągnął go łagodnie i zanim go zapiął, Ellie przez chwilę napawała się przyprawiającym o zawrót głowy widokiem pięknego profilu oraz odurzającym męskim zapachem.

- Jest trochę kapryśny - powiedział Ben, widząc jej spojrzenie i niewłaściwie je interpretując.

- Jest stary, ma prawo - skomentowała.

- To prawda. A ty, co ty masz na swoje usprawiedliwienie?

- Nie twoja sprawa! - odburknęła. Była zmęczona, zła na siebie, w dodatku bolało ją kolano. - Mówiłam ci, że ktoś mnie odwiezie.

- Następnym razem posłucham.

- Nie planuję następnego razu.

- Doprawdy? - Ben nie wyglądał na przekonanego.

- Doprawdy - potwierdziła, a po chwili dodała, trochę skruszona: -
Przepraszam. Miałam taki wieczór, że chętnie bym o nim zapomniała, ale nie
powinnam wyładowywać się na tobie. - Nie odpowiedział. - Ani na twoim
aucie.

Ben odwrócił się. Na jego twarzy nie było irytacji, tylko niepokój.

- Bardzo cię boli? Jeśli trzeba, możemy pojechać do szpitala.

- Prawie nic nie czuję. Doskonale się spisałeś... Ben - dorzuciła
pospiesznie. - Naprawdę jestem ci wdzięczna za podwiezienie. Cieszę się, że
wracam do domu - powiedziała, a po chwili, zdając sobie sprawę, że prawdopo-
dobnie nie to chciał usłyszeć, spytała: - A ty jak się czujesz? Coś cię boli?

- Przeżyję. - Zerknął na nią. - Dlaczego to robisz, Ellie? Pracujesz jako
kelnerka, sprzątaczką, opiekujesz się domem? Przecież jesteś inteligentną
kobietą...

- Pomimo mojego godnego pożałowania gustu literackiego?

- Wszyscy mamy jakieś słabości.

Ellie wcale nie uważała swego zamięłowania do dziewiętnastowiecznej
literatury za słabość, ale mało prawdopodobne, żeby Ben Faulkner zmienił
swoje zdanie na ten temat.

- A jakie są twoje?

- Czy zawsze mówisz to, co pierwsze przyjdzie ci do głowy?

- Zazwyczaj - przyznała.

- I udało ci się przeżyć tak długo? Dwadzieścia cztery lub pięć lat bez
jakiegokolwiek poważnego uszczerbku?

- To bardzo niegrzecznie wypominać kobiecie jej wiek - obruszyła się. -
Dla ścisłości dodam, że mam dwadzieścia sześć lat.

- Dwadzieścia sześć? Zdziwiająca.

- Wiem. Jestem dobrze zakonserwowana.

- Chodzi mi o to, że to zdziwiająca, że przeżyłaś tyle lat bez szwanku.

Wzruszyła ramionami.

- Nikt, kto dożył mojego wieku, nie przeszedł przez życie bez szwanku - powiedziała. - Rany, być może niewidoczne, są jednak bardzo głębokie.

Na szczęście myślał, że mówiła o swoim kolanie.

- Czy nie możesz znaleźć jakiejś bezpieczniejszej pracy?

- Jeśli uważasz, że nauczanie trzynastolatków literatury jest mniej bolesnym zajęciem, to powinieneś spróbować.

- Jesteś nauczycielką?

- Byłam. Teraz jestem pisarką - oświadczyła, a ponieważ jej słowa nie zrobiły na nim piorunującego wrażenia, dodała: - Dziś wieczorem mieliśmy spotkanie naszego klubu literackiego, które niestety przegapiłam.

- Przegapiłaś je, ponieważ dźwiganie ciężkich tac z drinkami sprawiło ci większą przyjemność, a poza tym nie mogłaś zawieść przyjaciółki. - Zerknął na nią. - Masz wobec niej jakieś zobowiązania?

- Zatrudnia mnie. Nawet pisarze muszą jeść.

- Dopóki nie zarabiasz jako pisarka, jesteś kelnerką.

- To tak, jakby powiedzieć, że Vincent van Gogh nie był malarzem, bo nie zarabiał na swoich obrazach. Zresztą wcale się z nim nie porównuję - dodała pospiesznie, a gdy stało się oczywiste, że go nie przekonała, powiedziała: - A poza tym już mnie drukowano. Artykuły, krótkie opowiadania. I musisz wiedzieć... - W ostatniej chwili ugryzła się w język.

- Co?

- Napisałam też powieść.

Cóż, trzeba było coś powiedzieć.

- Czy będę musiał ją przeczytać?

- Właśnie wysłałam ją do wydawcy... - odparła, ale nie wspomniała, że był to już jedenasty wydawca.

- A więc odpowiedź brzmi: nie. To romans, jak sądzę? - Mogłaby przysiąc, że w końcu dostrzegła na jego twarzy cień uśmiechu.

- Co złego jest w romansach? - spytała zaczepnie. - Jane Austen pisała romanse.

- To prawda. I twoja ukochana Emily Bronte. Uczuciowi mężczyźni powaleni na kolana przez zdecydowane, młode kobiety.

- Dla mnie to brzmi dobrze.

- Ale zupełnie nieprawdopodobnie.

- Wcale nie tak bardzo. Ja cię powaliłam, nawet się o to nie starając.

- W romansach chodzi zapewne o sens metaforyczny - zauważył.

- To prawda. Ale w innym sensie jest o wiele szybciej. Oczywiście, to nie było zamierzone.

- A nie możesz uczyć i pisać? - spytał, wyraźnie chcąc zakończyć ten wątek.

- Rozmawiałeś z moim ojcem, prawda?

- On też tak uważa?

- Mniej więcej. Oczywiście, utrzymywał mnie przez cztery lata studiów i ma wszelkie prawo oczekiwać, że moja edukacja przyniesie zamierzony efekt. Nauczanie, co nieustannie mi powtarza, jest znakomitym zajęciem dla kobiety.

- A więc kariera zgodna z oczekiwaniami rodziny? To trochę protekcjonalne traktowanie.

- Mój ojciec twierdzi, że jest realistą. Mniej godzin pracy i długie wakacje powinny umożliwić mi pisanie.

- Ojcowie, niezależnie od tego, jak to wyrażają, na ogół mają na względzie dobro swoich dzieci. Twój ojciec na pewno nie jest szczęśliwy, widząc, co robisz.

- To prawda. - Ellie miała poczucie winy, że tak bezlitośnie zawiodła ojca, ale nic nie mogła na to poradzić. - Wiem, Ben, że sprzątanie, kelnerowanie czy inne dorywcze zajęcia to żadna kariera. Nie ma się czym pochwalić przed kolegami z klubu golfowego, niemniej jednak ma to swoje dobre strony.

- Doprawdy?

- Oczywiście. Nigdy nie zabieram pracy do domu, nie spędzam weekendów na sprawdzaniu klasówek ani na przygotowaniu konspektów lekcji. Żadnej papierkowej roboty. - Kiedy pastowała podłogi, prasowała czy odkurzała, miała przynajmniej wolną głowę. Mogła odbywać wyimaginowane podróże, żyć całkowicie innym życiem. - Pracuję od siódmej, o drugiej zazwyczaj kończę. Potem, aż do wieczora, mam czas na pisanie - dokończyła.

- Niemniej jednak...

- Życie jest zbyt krótkie i zbyt kruche, by odkładać marzenia na później. - Spojrzała na niego. - Nauczyła mnie tego śmierć Seana, mojego męża. Nie chcę kiedyś popatrzeć w przeszłość i żałować. Ja teraz lecę balonem.

Raczej poczuła, niż dostrzegła jego spojrzenie, kiedy dotarła do niego informacja, że jest wdową, a nie jedną z tych dziewczyn, które wychodzą za mąż w pośpiechu, a potem tego żałują.

- Lecisz balonem? - powtórzył.

Ellie nie mogła uwierzyć, że powiedziała to głośno. Może upadek, a może bolesna świadomość, że odcięła się od rodziny i przyjaciół, sprawiły, że te słowa zostały wyartykułowane.

- Czasami w letnie wieczory obserwowaliśmy wypełnione gorącym powietrzem balony dryfujące nad doliną. Sean chciał, żebyśmy naszą pierwszą rocznicę świętowali z butelką szampana w balonie, ale przyszedł rachunek za elektryczność i ja powiedziałam... - Pokręciła głową, nie chcąc przypominać sobie, co wtedy powiedziała. - Przez całe życie robiłam sensowne rzeczy. Studiowałam filologię angielską zamiast czegoś tak niedorzecznego jak malarstwo czy grafika na Akademii Sztuk Pięknych. Czekałam z zamążpójściem, aż skończę uniwersytet i zdobędę kwalifikacje nauczycielskie. Posiadanie dzieci też odkładaliśmy na później, aż będziemy mogli sobie na nie pozwolić...

- Co się z nim stało? Spojrzała na niego.

- Z Seanem.

- To była taka zwykła niedziela... Wstaliśmy, posprzecaliśmy się o to, że wypił mleko. Powiedział, żebym się nie denerwowała, założył słuchawki na uszy i pobiegł do kiosku...

Auto zatrzymało się na światłach.

- Kupił gazetę i zaczął przeglądać wiadomości sportowe. Zawsze tak robił. Biegł do kiosku, a potem wracał z nosem w gazetę. Musiał natychmiast wiedzieć, jak poszło Manchesterowi United w rozgrywkach ligowych. Był zagorzałym kibicem. Zawsze mu mówiłam, że kiedyś na coś wpadnie... Śmiał się wtedy i żartował, że zmieniam się w zrzędlivą jędzę... Tamtego dnia wszedł na jezdnię, w ogóle nie patrząc. Kierowca nie miał żadnych szans. - Po chwili dodała: - Ktoś po mnie przybiegł...

Na chwilę była znów z Seanem, klęczała na jezdni, patrzyła, jak mleko i krew wsiąkają w gazetę, widziała pełne triumfu nagłówki oznajmiające, że United w przyszłym sezonie będzie mistrzem. Tulila Seana w ramionach, a on powiedział: Nie polecimy razem balonem, Ellie...

Kiedy stojący za nimi samochód zatrąbił ze zniecierpliwieniem, Ellie wróciła do rzeczywistości. Spojrzała na Bena.

- Nie można cofnąć czasu i naprawić tego, co się nie udało.

- Przykro mi.

Było mu przykro, że poruszył ten temat.

- To stało się trzy lata temu - wyjaśniła, przyzwyczajona do tego, że ludzie nie wiedzieli, co powiedzieć, kiedy dowiadawali się o jej tragedii. - A ty, Ben? Jakie masz plany na życie?

- Czy można zaplanować życie, skoro tak wiele pozostaje poza naszą kontrolą?

- Mimo to trzeba działać. Nie można czekać, aż coś samo przyjdzie. Odkładać wszystkiego na później.

- *Carpe diem?*

- Dokładnie! Chwytaj dzień. To właśnie powiedziałam ojcu, kiedy zrezygnowałam z nauczania. - Nie chciała dalej o tym mówić. - Adela spodziewała się twojego powrotu dopiero w przyszłym roku - zmieniła szybko temat.

- Co się stało?

- Zamieszki, walki wewnętrzne. Pracowałem w Kirbekistanie.

- Czy to nie tam, gdzie...? - Ellie przypomniała sobie okropne sceny, które widziała w telewizji. - Wojna domowa zaczęła się wiele tygodni temu. Miałeś problemy z wydostaniem się stamtąd?

Ben wzruszył ramionami.

- Lotnisko zostało zajęte, zanim ktokolwiek zdążył wyjechać. Cała nasza grupa zdecydowała się przejść przez góry. To zajęło trochę czasu.

- Musiało być ciężko... - To wyjaśniało ślady zranień na jego rękach.

- Nie tak ciężko jak ludziom, którzy musieli tam zostać - odrzekł. -

Ponieważ sytuacja polityczna w tamtym rejonie była już od jakiegoś czasu napięta, zeskanowałem starożytne teksty i mogę kontynuować pracę tutaj, na uniwersytecie.

- Ale to nie to samo co praca nad oryginałami, prawda? - powiedziała współczującym tonem.

- Nie to samo.

- Za kilka tygodni, kiedy sytuacja się unormuje, będziesz mógł tam wrócić, prawda? - spytała z nadzieją w głosie.

Ben skrzywił się na podjazd i zatrzymał się przed tylnym wejściem.

- Wcale się nie dziwię, że zależy ci, by szybko się mnie pozbyć, ale niestety rebelianci spalili muzeum, więc obawiam się, że twój optymizm jest przesadny.

- Byłeś ranny?

- Nic poważnego - odparł.

Wysiadł z samochodu, przeszedł naokoło i pomógł Ellie. Przez dłuższą chwilę trzymał ją za obie ręce, a ona próbowała złapać równowagę.

- Dasz radę wejść po schodach?

- Oczywiście.

Musi dać radę. Jeśli chce tu zostać, nie może sprawiać mu kłopotów.

- Dziękuję za podwiezienie. I za pierwszą pomoc. Skinął głową i podał jej torbę.

- Na pewno masz jakieś rzeczy do prania - powiedziała. - Upioreń wszystko jutro rano.

- Potrafię obsługiwać pralkę.

- Naprawdę? To rzadkość u mężczyzny - próbowała zażartować, a kiedy nie zareagował, dodała: - Moja propozycja jest nadal aktualna. Zaczynam pracę bardzo wcześnie. Kiedy wstaniesz, mnie już nie będzie. Przygotuję śniadanie - płatki, jajka...

- Jedzenie, pranie. Coś jeszcze?

- Przed południem zwykle bywam w mieście, więc jeśli czegoś będziesz potrzebował, koniecznie zanim pójdziesz spać, przyczep kartkę na lodówce - odparła, ignorując dziwny ton jego głosu.

- I zakupy. Ognisko domowe na zawołanie - powiedział. - Za opłatą, oczywiście.

- Założę się, że mój czas jest tańszy od twojego - odrzekła, zła, że źle ją zrozumiał. Nie oczekiwała przecież, że będzie jej płacił za niewielką, dodatkową pracę. A on pomyślał, że usiłuje go wykorzystać albo próbuje mu się podlizać, kiedy ona po prostu była sobą. No, chyba nie podejrzewał, że... Odsunęła jego rękę. - Dobranoc.

Nie weszła do kuchni. W swoim pokoju miała czajnik i duży zapas czekolady w proszku. Będzie musiała wypić co najmniej dwa kubki i zjeść sporo kruchych ciasteczek, by ochłonać.

Czyżby Ben myślał, że jej opowieść o Seanie była obliczona na wywołanie współczucia? A może uznał, że poniży się i zaproponuje mu w zamian za dach nad głową pełen asortyment osobistych usług?

Do diabła, teraz nie miała wyboru. Musi opuścić ten piękny dom.

Włączyła czajnik i wyjęła z puszki kilka czekoladowych ciasteczek.

Skoro nie poszła do pubu, postanowiła popracować nad felietonem do kolejnego numeru „Milady”. W ostatnim artykule lady Gabriella pisała o ogrodzie, o tym, jak samodzielnie odnowiła starą ławkę. Ellie w bardzo przekonujący sposób opisała ból pleców oraz pilną potrzebę zrobienia manikiuru po zakończeniu pracy. Wysłała do redakcji szkic ławki oraz starego, kamiennego kwietnika, który obsadzony bujnymi paprociami (podobny zauważyła w zacienionym zakątku sąsiedniego ogrodu) od razu nabrał szyku i szlachetnej patyny.

W tym miesiącu lady Gabriella organizowała kolację z okazji rocznicy ślubu, a więc felieton powinien dotyczyć zakupów, przygotowań, menu, a to wymagało od zwykłej dziewczyny, jaką była Ellie March, maksymalnego wyteżenia wyobraźni.

A jeszcze trudniej przychodziło jej wyobrazić sobie szczery uśmiech na twarzy Bena Faulknera...

Zamiast pisać, wzięła do ręki lokalną gazetę i zaczęła przeglądać rubrykę „Mieszkania do wynajęcia”.

Ben nie spieszył się z wejściem do domu. Ellie zapewne przygotowywała sobie w kuchni kanapki albo drinka. Bez wątplenia coś mu zaproponuje.

A może nie...

Naprawdę poruszyła go swą opowieścią o podróży balonem i o zmarłym mężu.

Odstawił samochód i poszedł na spacer po ogrodzie.

Z ciemności wyłonił się szary kot, miauknął cicho, otarł się o nogi Bena, a potem, kiedy w oknie małej wieżyczki zapaliło się światło - Ben wcale nie był

zaskoczony, że jego romantycznie usposobiona lokatorka zaanektowała najbardziej niewygodną część domu - odwrócił się i wskoczył na beczkę na deszczówkę.

Ben obserwował, jak zwierzę przeskoczyło zwinnie na dach ganku, a potem wspinało się wyraźnie znajomą ścieżką coraz wyżej, by wreszcie po wykonaniu ostatniego skoku znaleźć się na parapecie otwartego okna Ellie.

Tam zwierzak zatrzymał się na chwilę, wygiął grzbiet, cicho zamiauczał i wskoczył do środka.

Przez chwilę Ben poczuł się tak, jakby to nie Ellie March, ale on był intruzem.

Ellie nie mogła się skoncentrować. Kiedy wyciągnęła rękę, żeby pogłaskać siedzącą na parapecie Millie, zauważyła w półmroku Bena. Wydał się jej taki samotny. W jednej chwili gniew z niej wyparował.

Ostatnio wiele przeszedł, a kiedy wrócił do domu, zastał w nim obcą osobę.

To był jego dom. Nie mogła dłużej mu się narzucać. Rano zostawi mu kartkę, że zaczyna czegoś szukać, i wyprowadzi się tak szybko, jak tylko będzie mogła.

Wypiła drugi kubek czekolady i sięgała do szuflady po kolejne czekoladowe ciasteczko, kiedy rozległo się pukanie do drzwi.

Ben usłyszał trzask zamykanej szuflady, a potem stłumiony głos Ellie:

- Proszę, wejdź.

Otworzył drzwi, wsunął głowę do pokoju i od razu zauważył lokalną gazetę otwartą na rubryce „Mieszkania do wynajęcia”; kilka ogłoszeń zakreślonych było kółkiem.

- Przeszkadzam?

- Od chwili, kiedy wszedłeś do biblioteki.

- A więc jest coś, co nas łączy.

- To dlaczego tu przyszedłeś? Jeśli szukasz czegoś innego niż saszetka z rozpuszczalną czekoladą, rozczarujesz się.

Zamierzał jej powiedzieć, że daje jej miesiąc, najwyżej sześć tygodni na znalezienie sobie innego mieszkania, ale to, co zobaczył, sprawiło, że stracił rezon. Nie bardzo wiedział, jak się zachować. Niepewnie rozglądał się po pokoju.

Kiedyś bardzo dawno temu to był jego pokój. Miał tu swoją kryjówkę, do której ani ojciec, ani starsza siostra nie mieli wstępu. Kiedy ostatni raz tu zaglądał, pokój był zaniedbany i opuszczony.

Teraz wszystko się zmieniło. Ellie zdjęła stare zasłony i przez okno widać było ciemnograny łuk wieczornego nieba. W kremowym dzbanie stały kwiaty, a na korkowej tablicy przypięte były pocztówki, notatki i wycięte z kolorowych magazynów fotografie wnętrz, ubrań, ludzi. Ellie przyniosła z dołu kolorowy dywanik, który kiedyś leżał w pokoju dziecięcym, i wyczyściła stare biurko. Na zniszczoną sofę zarzuciła haftowany szal.

Panował tu swego rodzaju artystyczny chaos, który stwarzał ciepły, przyjazny klimat.

- Ładnie się urządziłaś - rzekł Ben, powstrzymując się, by nie opaść na sofę. Pamiętał dokładnie te chwile, kiedy leżał na niej razem z...

- Zanim się wyprowadzę, powieszę zasłony - powiedziała pośpiesznie, widząc, że Ben zerka na okno. - Zdjęłam je do prania, a potem uznałam, że tak jest lepiej.

- Aż dziw, że nie rozpadły się na kawałki.

- Byłam bardzo ostrożna.

- Nie wątpię, ale masz rację. Okno wygląda znacznie lepiej. Prawdę mówiąc, cały dom od dawna tak dobrze nie wyglądał. Jest bardzo zadbane. Pani Turner starała się, ale...

- Jest łatwiej, kiedy się tu mieszka.

- Tak, wyobrażam sobie... - To uroczy dom...

- Trochę za duży dla jednej osoby? To chciałaś powiedzieć?

Ellie pokręciła głową.

- Nie, chciałam powiedzieć, że z przyjemnością się nim opiekowałam. Ale to prawda, potrzeba dużej rodziny, żeby go zapełnić. To oczywiście nie moja sprawa...

- Nie, nie twoja.

- Czy coś się stało? Chyba nie wspiąłeś się tutaj tylko po to, by podziwiać widoki?

- Nie... - Ben przesunął palcami po włosach, które rozpaczliwie domagały się wizyty u fryzjera. Nie szło tak, jak zamierzał. - Chciałem ci powiedzieć, że... nie oczekuję od ciebie natychmiastowej wyprowadzki tylko dlatego, że moje plany tak gwałtownie się zmieniły.

- To dobrze, ponieważ znalazłabym się na bruku.

- Nie masz kogoś, do kogo mogłabyś się przenieść? Obrzuciła go wymownym spojrzeniem.

- Nie natychmiast, ale tak szybko, jak to możliwe - o to ci chodziło? Dokładnie to chciał powiedzieć.

- A twoi rodzice? - spytał.

- Przeprowadziłbyś się do rodziców? - spytała.

- Nie mam takiej możliwości.

- Przykro mi, ale ja również nie. Już dawno przekroczyłam wiek, kiedy prowadzi się dom razem z matką - oświadczyła i dodała: - Jeśli będziesz nalegał na natychmiastową wyprowadzkę, przypuszczam, że Sue pozwoli mi przespacerować się na kanapie.

- Ależ... nie, oczywiście, nie... - wyjąkał. - Nie ma takiej potrzeby. Jak myślisz, ile czasu zajmie ci znalezienie mieszkania?

- Czy ty masz pojęcie, jak trudno jest znaleźć przyzwoite mieszkanie w mieście uniwersyteckim, w którym jest pełno studentów? - odparła

podniesionym głosem i nie czekając na odpowiedź, wskazała leżącą na biurku gazetę.

- Od jutra zacznę szukać. Masz moje słowo, że nie będę tego przeciągać.

- Dziękuję - powiedział, choć poczuł żal. Dlaczego nie zażądała od niego, choć miała pełne prawo, dotrzymania umowy zawartej z Adelą? - Jeśli będziesz potrzebowała pomocy przy wpłaceniu kaucji...

- Dziękuję, doktorze Faulkner. Przez ostatnie trzy miesiące zaoszczędziłam trochę pieniędzy.

Chciał jej przypomnieć, że miała zwracać się do niego po imieniu, ale zrezygnował.

- A więc dobranoc.

- Doktorze... Zatrzymał się w drzwiach.

Ellie odsunęła opadający na twarz kosmyk włosów.

- Podtrzymuję to, co powiedziałam. Możesz wziąć sobie do jedzenia, co chcesz. Bez żadnych zobowiązań.

ROZDZIAŁ CZWARTY

- Ben, jak miło cię widzieć! - powitała Bena Kitty, sekretarka Adeli. -
Było bardzo źle? Trudno było się wydostać?

- Tak, na szczęście jestem cały i zdrow. - Uszkodzeń ciała doznał dopiero po powrocie do domu, ale o tym nie wspomniał.

- A w domu? Wszystko w porządku?

- Dom jest w znakomitym stanie. Niestety, wygląda na to, że mam lokatorkę.

- Ellie? Och, Boże, nie pomyślałam! Czy to problem?

- O co tutaj chodzi, Kitty?

- Wiesz, że ona pracuje dla Adeli? To prawdziwy skarb. W styczniu zeszłego roku, kiedy Adela miała grypę, Ellie opiekowała się nią z wielkim oddaniem. Wpadała trzy razy dziennie, prała, robiła zakupy, szykowała jedzenie.

- I zapewne otrzymała wynagrodzenie.

- Masz pojęcie, ile kosztuje taka opieka? - Kitty pokręciła głową. - Adela płaci jej za cztery godziny sprzątania raz na tydzień. Całą resztę Ellie robiła w wolnym czasie. To bardzo dobra dziewczyna...

- Nikt nie jest aż tak dobry - powiedział Ben. - Czyj to był pomysł, żeby wprowadziła się do Wickham Lodge?

- Sugerujesz coś?

- Ta dziewczyna przejęła obowiązki po pani Tuner. Wiedziała, że dom będzie pusty przez najbliższe dwanaście miesięcy.

Kitty wyprostowała się.

- Takiego domu nie można zostawić bez opieki, Ben. Twoja siostra ciągle musiała wzywać różnych fachowców. A to zapchane rynny, a to obluzowana dachówka...

- Mogła mnie powiadomić mejlem. Ty też mogłaś. Wynająłbym firmę zarządzającą.

- Och, daj spokój! Adela byłaby na mnie wściekła. Wiesz przecież, że traktuje cię bardziej jak syna niż brata.

- Gdy tak mówisz, czuję się jak ostatni drań, Kitty.

- Nie miałam takich intencji. Chciałam tylko, żebyś poznał pewne okoliczności. Ten drań, właściciel mieszkania, które wynajmowała Ellie, zaczął wpadać do niej o różnych dziwnych porach i dawał jej do zrozumienia, że zapomni o czynszu w zamian za bardziej osobiste usługi.

Benowi z trudem udało się powstrzymać przekleństwo.

- Ellie szukała nowego lokum, a Adela odchodziła od zmysłów, ponieważ akurat otrzymała sześciomiesięczne stypendium na te badania...

- Ellie wspomniała mi o tym.

- W każdym razie był to nieoczekiwany zbieg okoliczności, a inicjatywa wyszła ze strony Adeli. - Kitty wyglądała na zaniepokojoną. - To chyba nie będzie problem? Adela spodziewała się ciebie dopiero za rok. Szczerze mówiąc, miała nadzieję, że Ellie rozczaruje się w tym czasie do pisarstwa i wróci do nauczania. Im szybciej odkryje, że traci czas, tym szybciej da sobie z tym spokój.

- Skąd wiesz, że tylko traci czas? - spytał Ben, nagle poirytowany brakiem wiary w pisarski talent Ellie.

- Tak czy owak, Adela chciała jej pomóc.

- Ale to nie Adela musi mieszkać w jednym domu z całkiem obcą osobą.

- Dom jest duży, Ben.

- Wiem o tym, ale Ellie jakimś cudem jest w nim wszechobecna.

Kiedy następnego dnia Ellie wróciła do domu, znalazła na wycieracze stos listów. To oznaczało, że Ben musiał wyjść na uniwersytet zaraz po niej.

Całe szczęście, ponieważ znalazła również grubą kopertę zaadresowaną do lady Gabrielli March.

Zaniosła pocztę do kuchni, postawiła zakupy, włączyła czajnik i czekając, aż woda się zagotuje, przeglądała korespondencję.

W białej, sztywnej kopercie, zaadresowanej do doktora Benedicta Faulknera, znajdowało się niewątpliwie jakieś zaproszenie. Jak widać, wieść o jego powrocie rozeszła się bardzo szybko. Był przecież kawalerem i Ellie nie miała wątpliwości, że bardzo pożądanym. Odłożyła kopertę na bok i zajęła się listami zaadresowanymi do siebie.

Kiedy już wyrzuciła do kosza wszystkie reklamówki, oprócz listu z „Milady” pozostało tylko zaproszenie od dentysty przypominające o corocznej kontroli oraz duża, brązowa koperta, na której kilka tygodni temu umieściła adres zwrotny, mając nadzieję, że nigdy więcej jej nie zobaczy.

Doskonale wiedziała, co znajdowało się w środku: pierwsze trzy rozdziały jej powieści i liścik od kolejnego wydawcy ze standardową formułką „dziękuję, ale nie skorzystamy”.

Nie była z natury pesymistką, jednak sprzedała wystarczająco dużo drobnych utworów, by wiedzieć, że jeśli ktoś zainteresował się jej tekstem, nigdy go nie odsyłał, tylko dzwonił, przysyłał mejla albo list z zaproszeniem na rozmowę.

Niektóre odmowy były bezosobowe - zwykle, drukowane formułki bez komentarza, inne przybierały formę zachęcających listów w rodzaju: ciekawy utwór, ale niestety nie dla nas.

Pomyślała, że zanim dowie się, pod jaką kategorię podpada dzisiejsza odmowa, musi zrobić sobie herbatę i zaopatrzyć się w puszkę ciasteczek. Przedtem jednak otworzyła kopertę z redakcji „Milady”. W środku znajdował się plik listów spiętych dużym spinaczem.

O Boże, a co to? Korespondencja od wielbicielek?

Były to listy od czytelniczek pragnących poznać szczegóły dotyczące pielęgnacji paproci rosnących w kamiennym pojemniku lub otrzymać przepis na ciasto z wiśniami, które podczas pieczenia nie opada na dno. Och, Ellie z

łatwością napisała o cieście, a potem narysowała placek, jaki piekła mama. Czytelniczki pytały również, gdzie można kupić domek z materiału dla dzieci; chodziło o daszek z materiału w paski, który uszyła dla swoich dzieci jedna z klientek Ellie, a potem zawiesiła na gałęzi drzewa. Ktoś inny prosił o radę, co kupić w prezencie ślubnym dla kogoś, kto wychodzi za mąż po raz drugi i nie potrzebuje niczego.

Był również liścik od pani Cochrane.

Doskonale! Zamówiłam papeterię z wydrukowanym adresem „Milady”. Powinna przyjść lada dzień wraz z zapasem znaczków na Twoje odpowiedzi. Prowadź rejestr, proszę. W najbliższym numerze zostawiłam trochę miejsca na publikację odpowiedzi na najczęściej zadawane pytania oraz zaznaczyłam te, które planuję wykorzystać.

Czy możesz najpóźniej do poniedziałku przysłać mi listę gatunków paproci, które polecilibyś do posadzenia w pojemniku ogrodowym? Z powodu ogromnego zainteresowania tym tematem postanowiłam stworzyć specjalną rubrykę porad ogrodniczych, redagowaną przez specjalistę. Możesz o tym wspomnieć w swoich odpowiedziach.

Czy możesz wraz z felietonem do następnego numeru przysłać mi swoje odpowiedzi?

Zapomnij o Gabrielli March, autorce bestsellerów. Przyzwyczaj się do lady Gabrielli, guru stylu życia, pomyślała Ellie, wkładając listy z powrotem do koperty.

Zdażyła nalać wodę do kubka, otworzyć puszkę czekoladowych ciasteczek, kiedy otworzyły się kuchenne drzwi i do środka wszedł Ben Faulkner.

- Już kończę. - Szybko ukryła kopertę z „Milady”. - Właśnie chowam zakupy. Jeśli masz ochotę, wrzuć sobie torebkę herbaty do kubka. Woda się

zagotowała - wyrzuciła jednym tchem i zajęła się wkładaniem warzyw do szuflady w lodówce. - Twoja poczta jest na stole,

Ben wziął ze stołu list i otwierając go, rzucił okiem na opasłą, brązową kopertę. Równie dobrze mógł na niej widnieć wielki stempel „odmowa”.

- W porządku, skończyłam - powiedziała pospiesznie Ellie.

Zaczęła robić herbatę, a tymczasem Ben odłożył na stół zadrukowaną złotymi literami kartę - zaproszenie na ślub - i nasypał kawę do kubka. Stał bardzo blisko. O wiele za blisko.

Ledwie herbata zabarwiła wodę, Ellie wyrzuciła torebkę do śmietnika, zebrała swoją pocztę i przyciskając listy mocno do piersi, ruszyła w stronę drzwi. Nagle, jakby coś sobie przypomniała, odstawiła kubek i zaczęła przeszukiwać torebkę.

- Ellie...

- Chwileczkę! - Pewnie miał zamiar spytać ją, czy zrobiła coś w sprawie mieszkania lub, co gorsza, kazać jej natychmiast się wyprowadzić, ale zanim zdążył się odezwać, Ellie wyjęła z torebki małą paczuszkę zawiniętą w ochronną folię i położyła ją na stole. - Twoje okulary - powiedziała.

Ben patrzył zdziwiony.

- Dałaś je do naprawy? - W jego głosie pobrzmiwała raczej irytacja niż wdzięczność.

- A czego się spodziewałeś? - Ellie pokręciła głową. Do licha, na pewno pomyślał, że to kolejna sztuczka obliczona na zdobycie jego sympatii! - Od czasu do czasu pracuję u optyka przy High Street - wyjaśniła. - Kiedy jego sprzątaczką wyjeżdża. Zreperował je dla mnie. Za darmo - oświadczyła, a następnie, ponieważ i tak wcześniej czy później musiała to usłyszeć, spytała: - Co mi chciałeś powiedzieć?

- Nic. Tylko tyle, że nie musisz się spieszyć z mojego powodu.

- Mam mnóstwo pracy. Muszę wykonać wiele telefonów i obejrzeć mieszkania. - Nie mogła się powstrzymać, by tego nie powiedzieć.

W kuchni zapadła cisza. Gdzieś w głębi domu zegar wybijał godzinę. Pomimo wstawiennictwa Kitty Ben nie miał zamiaru zmieniać decyzji. Słowo się rzekło. Ellie zaakceptowała to bez dąsów. Nie było żadnego problemu.

Teoretycznie.

W rzeczywistości wolałby, żeby zrobiła awanturę. Wtedy nie czułby się tak, jakby kopnął szczeniaka. A ona rzeczywiście zachowała się niezwykle przyzwoicie. Przyjęła do wiadomości, że ten dom już dłużej nie potrzebuje opiekuna.

Ale nawet niezwykle przyzwoita osoba ma prawo do okazania własnych uczuć.

- Jesteś bardzo szczerą, Ellie - powiedział. Wydawało się mu, że po jej promiennej twarzy przemknął cień, ale tylko pokręciła głową.

- Wczoraj wieczorem tak nie myślałeś.

- Wczoraj wydawało mi się, że proponujesz mi wszystko w zamian za dach nad głową.

- Nic takiego nie miało miejsca! - Rumieniec wściekłości, który zabarwił jej policzki, nie pozostawiał wątpliwości, że zrozumiała, co miał na myśli.

- Popełniłem błąd. Przepraszam. Sekretarka Adeli powiedziała mi, dlaczego musiałaś się wyprowadzić z poprzedniego mieszkania. Wyrażała się o tobie bardzo pozytywnie.

- Sprawdzaleś mnie?

- A co byś zrobiła na moim miejscu?

- No cóż, przynajmniej w tej sprawie odzyskałeś spokój - powiedziała chłodno. - A teraz, jeśli nie masz nic innego...

- Może zostaniesz jeszcze chwilę i pozwolisz mi dokończyć? - przerwał jej, a ona zastygła przy drzwiach, odwrócona do niego plecami. - Kiedy powiedziałem, że nie musisz się spieszyć z wyprowadzką... Odwróciła się lekko.

- Kiedy to powiedziałem, miałem na myśli... - Właściwie nie wiedział, co miał na myśli. Zmarszczył brwi. - Po prostu... nie spiesz się. Znajdź coś odpowiedniego, gdzie będziesz czuła się dobrze - dodał, żałując, że nie pozwolił jej wyjść.

- To wszystko?

- Tak. Nie... To znaczy, nie martw się, nadal będziesz tu zatrudniona.

- Obydwoje wiemy, jak ciężko jest znaleźć dobrą sprzątaczkę, prawda?

- Ellie...

- Przypuszczam, że te ustępstwa zawdzięczam Kitty?

- Opowiedziała mi z detalami, jak opiekowałaś się Adelą, kiedy była chora - wyznał szczerze.

- Adela jest nie tylko moją pracodawczynią, ale również przyjaciółką. Czy tu zostanę, czy odejdę, zawsze może na mnie liczyć.

- A więc możesz zostać lub odejść, jak chcesz...

- Co to ma znaczyć, u diabła?

- To znaczy... - Ben pokręcił głową, nie mogąc uwierzyć, że znalazł się w takiej sytuacji. - To znaczy, że nie zamierzam pozbyć się ciebie przynajmniej przez miesiąc, a prawdopodobnie przez dwa. Mam nadzieję, że przez ten czas przyzwyczaję się do ciebie. - Powtarzał sobie w duchu, że robi to dla Adeli. Ona tego oczekiwała, a on był jej to winien. Z żadnego innego powodu. - A jeśli... znów miałbym wyjechać, musiałbym znaleźć kogoś na twoje miejsce...

Niektóre kobiety powiedziałyby mu, że o tym pomyślą. Inne być może kazałyby mu się wypchać, a Ellie... uśmiechnęła się.

Na jej twarzy nie było cienia triumfu czy satysfakcji, a jej uśmiech rozjaśnił pokój. Ben poczuł się tak, jakby otrzymał uderzenie w pierś, bardziej bolesne niż tamto, kiedy Ellie spadła na niego z drabiny.

Ellie, nie mogąc uwierzyć we własne szczęście, szybko uciekła do swego małego, bezpiecznego świata w wieży. Poszła prosto do gabinetu

znajdującego się pod stożkowatym, pokrytym łupkiem dachem. Odsunęła kosz ze śpiącym kotem i na stosie rozmaitych papierów położyła listy.

Z rozmysłem zignorowała dużą, brązową kopertę, usiadła i wypuściła powietrze.

- Egzekucja chwilowo odroczone, Millie! - powiedziała, mnąc w dłoniach lokalną gazetę i wyrzucając ją do kosza.

Millie, zła, że zakłócono jej spokój, machnęła ogonem, po czym usadowiła się na parapecie.

- Nie złość się na mnie, kotku. Jeśli ja stracę dom, ty również staniesz się bezdomna - dodała z uśmiechem. Kilka miesięcy - dla Bena Faulknera to być może żadna różnica, ale dla niej ogromna. Nie miała wątpliwości, komu powinna za to podziękować.

Kitty była sekretarką starej daty. Starannie wymawiała samogłoski, nosiła ciemne kostiumy i nie pozwoliłaby sobie na żadne wygłupy. Zapewne uświadomiła Benowi, że umowa, jaką Ellie zawarła z Adelą, musi być dotrzymana.

Naprawdę dziwne, dlaczego tak trudno mu było to zrozumieć.

Nie, naprawdę dziwne, dlaczego mieszkał sam w takim dużym, starym domu...

Ale ponieważ tego typu spekulacje nie dają chleba z masłem - tak mawiała prababcia - Ellie zabrała się za aktualizację swojego rozkładu zajęć.

Zawsze robiła listę umówionych prac, zapisywała przepracowane godziny i sumy zarobionych pieniędzy.

Dzisiaj, tak jak każdego ranka, sprzątała biuro agenta nieruchomości, a następnie poszła do optyka. Potem, ponieważ był piątek, zrobiła zakupy dla pani Williams. Później odebrała Daisy z przedszkola i opiekowała się nią aż do powrotu matki dziecka.

Kiedy skończyła, zajęła się osobistym dziennikiem, prowadzonym, jak na pisarkę przystało, w dużym, oprawionym w skórę zeszycie. Na gładkim,

cienkim papierze opisywała szczegóły minionego dnia i zabawne zdarzenia, szkicowała drobne ilustracje.

Dzisiaj nie wydarzyło się nic szczególnego. Oczywiście, poza Odmową Numer Jedenaście. Ellie napisała to dużymi literami. I podkreśliła.

Starannie odnotowywała wszystkie odmowy, aby móc - kiedy książka okaże się już bestsellerem - wymienić tych wydawców, którzy nie docenili jej geniuszu. Czyż wtedy nie poczują się głupio?

W końcu przysłała pora, by zająć się dużą, brązową kopertą, ale przedtem Ellie naszkicowała jeszcze kota, który ponownie ułożył się do snu w koszyku, małe ciasteczka z anielskimi skrzydłami i opadający kosmyk włosów, dokładnie taki sam, jak ten znad czoła Bena Faulknera...

Oto temat na książkę.

Doktor Benedict Faulkner.

Wczoraj był taki nieuprzejmy... A jednak zabandażował jej kolano, podwiózł do pracy i przyjechał do biblioteki.

A na koniec wszystko zepsuł, sugerując, że w zamian za dach nad głową gotowa jest zaoferować mu coś więcej niż tylko sprzątanie. Zważywszy okoliczności, była to prawdziwa ironia losu. Dobrze, że Kitty przemówiła mu do rozumu.

Wreszcie Ellie postanowiła nie odkładać dłużej tego, co nieuchronne, i otworzyła dużą kopertę.

Recenzentka musiała mieć wyjątkowo zły dzień. Nie użyła żadnej standardowej formułki, ale, nie oszczędzając autorki, do woli szermowała takimi określeniami jak: banalne, stereotypowe, staroświeckie, przestarzałe.

Ellie otworzyła szufladę i szybkim ruchem schowała wszystko do środka.

Teraz miała ważniejsze rzeczy na głowie.

Pani Cochrane chciała znać nazwy paproci, które można posadzić w kamiennym kwietniku, a ponieważ Ellie nie wiedziała absolutnie nic o paprociach, musiała zapukać do drzwi sąsiadki i spytać. Im szybciej, tym lepiej.

Zadzwoiła do drzwi i w odpowiedzi usłyszała dochodzące z głębi domu wołanie:

- Jestem tutaj!

Właścicielka głosu, elegancka blondynka w bliżej nieokreślonym, średnim wieku leżała na sofie w staroświeckim, ogromnym ogrodzie zimowym i patrzyła na Ellie przez mocne okulary. Nie wstając, powiedziała:

- Spodziewałam się kogoś innego.

- Przepraszam, że przeszkadzam - powiedziała Ellie, lekko zdezorientowana - ale ilekroć przechodzę obok pani ogrodu, podziwiam paprocie. Czy mogłaby mi pani powiedzieć, jakie to gatunki?

- To ty jesteś tą dziewczyną, która mieszka w Wickham Lodge? - Kobieta zsunęła okulary na czubek nosa i przyglądała się jej uważnie.

- Tak, opiekuję się tym domem. A przynajmniej opiekowałam się. Teraz, po powrocie doktora Faulknera, zostanę, jak przypuszczam, zredukowana do roli sprzątaczk. - Wyciągnęła rękę. - Ellie March.

- Morrison. Laura Morrison. Widziałam cię, jak kosiłaś trawę. - Kobieta zmierzyła ją taksującym spojrzeniem i spytała: - A więc, Ellie, co wiesz o paprociach?

- Absolutnie nic - wyznała Ellie szczerze. - Przy kuchennym wejściu stoi stare, kamienne koryto, w którym być może można by je posadzić. Bratki nie wyglądają w nim na szczęśliwe.

- Oczywiście, że nie. Bratki lubią słońce. Nienawidzą wilgoci.

Ta kobieta na pewno się nie myliła. Jej ogród był urzekający. Kręte, kamienne ścieżki wiły się pomiędzy ukwieconymi klombami, spomiędzy gałęzi drzew wyłaniał się daszek altanki, a wokół stylowego karmnika uwijały się małe ptaszki.

Ogród był mniejszy niż ten przy Wickham Lodge, ale tak właśnie Ellie wyobrażała sobie ogród lady Gabrielli. Taki też powinien być ogród Bena Faulknera, gdyby poświęcić mu dość troski i uwagi - naturalny, a jednocześnie

ekscytujący i pełen tajemniczych zakątków, jakby stworzonych do dziecięcych zabaw.

- Mam trochę sadzonek paproci za szklarnią - rzekła lady Morrison. -

Przyniosłabym je, ale akurat okropnie boli mnie kręgosłup.

- Och, przykro mi. Czy mogę coś dla pani zrobić?

- Możesz nalać mi whisky. - A po chwili, zanim Ellie zdążyła wyrazić wątpliwość w kwestii mieszania alkoholu ze środkami przeciwbólowymi, Laura Morrison raptownie zmrużyła oczy. - Odsuń się na bok - syknęła i wyciągnęła pistolet.

Ellie, nie mogąc uwierzyć własnym oczom, stała w miejscu z otwartymi ustami.

- Z drogi, dziewczyno! - Laura wycelowała pistolet, a Ellie odwróciła się odruchowo, by sprawdzić, co wywołało niezwykłą reakcję gospodyni. Okazało się, że to Millie, która szorując po trawie wielkim brzuchem, skradała się, by upolować siedzącego w karmniku ptaka.

- Nie! - Ellie skoczyła, by zasłonić sobą cel Laury Morrison.

Coś ukłuło ją w kostkę i gdy padała na podłogę, przemknęło jej przez myśl, że w tym tygodniu jej nogi naprawdę miały pecha.

- Nie do wiary... - wyjąkała, bardziej zaskoczona niż obolała. - Pani do mnie strzeliła!

ROZDZIAŁ PIĄTY

- Pani do mnie strzeliła - powtórzyła Ellie, nadal nie mogąc uwierzyć w to, co się wydarzyło.

- Nie bądź głupia, dziewczyno.

- Głupia? - wypaliła z wściekłością Ellie. - Zraniła mnie pani! Proszę spojrzeć... - Podciągnęła nogawkę i popatrzyła na swoją łydkę.

Zamrugła powiekami - ani śladu krwi, żadnej rany.

- Ale ja czułam... - Dotknęła skóry i poczuła pod palcami coś mokrego. Ale to nie była krew. - Wygląda jak woda...

- To jest woda - powiedziała Laura Morrison. - Chyba że zsiusiałaś się ze strachu?

- To pistolet na wodę?

- Oczywiście. Naprawdę pomyślałaś, że to prawdziwa broń?

- No... tak.

- Głupia, ale odważna - skwitowała Laura Morrison.

- Chyba tylko głupia - sprostowała Ellie, po czym podniosła się i krzywiąc się z bólu, postawiła nogę na podłodze.

- Stało ci się coś? - spytała z niepokojem Laura.

- Wczoraj, kiedy odkurzałam, dość mocno uszkodziłam sobie kolano.

- Przy odkurzaniu? To raczej nie jest niebezpieczne zajęcie.

- Czasem bywa, zwłaszcza kiedy stoi się wysoko na drabinie. - Rozległy siniak, który pojawił się w nocy, potwierdzał prawdziwość słów Ellie. Ona sama zastanawiała się, czy na ciele Bena Faulknera znajdowały się podobne ślady.

Laura Morrison zaśmiała się głośno.

- Prowadzisz ekscytujące życie. Jesteś pewna, że coś tak przyjemnego jak praca w ogrodzie naprawdę ci odpowiada?

- Chyba mam dryg do zamiany prozaicznych zajęć w przygodę. - Ellie uśmiechnęła się gorzko, ale na widok skrzywionej twarzy Laury zapomniała o własnym bólu.

- Była pani u lekarza?

- Zrobił, co w jego mocy. Środki przeciwbólowe i leżenie w łóżku to najlepsze, co mógł zaproponować.

Ellie chciała zasugerować, że może należałoby położyć się płasko, ale w ostatnim momencie zrezygnowała. Laura z pewnością nie należała do kobiet, które z wdzięcznością przyjmują nieproszone rady.

- Może to ze stresu? - spytała. - Mojej matce sztywnieje kręgosłup za każdym razem, kiedy ciotka Jane przyjeżdża z wizytą.

Może to widok kota, który potraktował ogród jak bar szybkiej obsługi, wywołał podobny efekt u Laury Morrison.

- Masaż bardzo jej pomaga - ciągnęła Ellie. - Potem szybko wraca do formy.

- Naprawdę? Lubi, kiedy jakiś młody osiłek maltretuje jej ciało? - Ellie zarumieniła się. - No, cóż. Ja też mam młodego masażystę, który zaraz tu przyjdzie. Kiedy zadzwoniłaś, myślałam, że to on.

- Przykro mi, że panią rozczarowałam.

- Wprost przeciwnie, moja droga, naprawdę mnie rozbawiłaś. Jak tylko stanę na nogi, musisz koniecznie mnie odwiedzić - powiedziała Laura i dodała: - A teraz idź po paprocie.

Po przejrzeniu wielu doniczek Ellie wróciła z różnymi sadzonkami na dużej palecie.

- Tak. To powinno wystarczyć - zdecydowała Laura i dodała: - Kiedy będziesz wychodzić, obejrzyj mój klomb. Zobaczysz, jak należy je sadzić.

- Och, to znaczy, że te sadzonki są dla mnie? Ale ja tylko chciałam poznać nazwy...

Ellie zależało na informacjach, które mogłaby wykorzystać w swoim felietonie, a nie na praktycznej lekcji ogrodnictwa.

- Nie mam gdzie ich posadzić, a nazwy znajdziesz na etykietkach.

- Jest pani naprawdę bardzo uprzejma. Dziękuję.

Laura Morrison zbyła podziękowania machnięciem ręki.

- Kup dzwonek dla swojego kota, a będziemy kwita.

- Skąd pani wie, że to mój kot?

- Zawodzi mnie kręgosłup, nie oczy. Widywałam cię, jak siedziałaś przy oknie i pisałaś coś na komputerze. Widziałam również, jak ten kot wspinał się i wskakiwał do środka. - Dotknęła okularów. - Lubię znać wroga. - Zanim Ellie zdążyła odpowiedzieć, rozległ się dzwonek do drzwi. - To zapewne Josh.

Przyślij go tutaj, dobrze? - I na koniec dodała: - Tylko pamiętaj, żeby obficie je podlewać.

- Oczywiście. Jestem pani bardzo wdzięczna, pani Morrison.

- Mam na imię Laura. Zajrzyj do mnie wkrótce, Ellie. Tylko bez kota.

Ben wpatrywał się w leżący przed nim tekst, ale równie dobrze mógł mieć zamknięte oczy, i tak nic nie rozumiał. Nie mógł przestać myśleć o Ellie March. Kiedy wchodził do kuchni, odwracała swoje ogromne, brązowe oczy, jakby unikanie jego wzroku czyniło ją niewidzialną. Jakby mógł jej nie zauważyć. Zapomnieć, że tu była.

Niemożliwe. Jeśli byłaby zwykłą, cichą myszką, nie miałby z tym problemu. Ale ona była inna... Wypełniała swoją obecnością cały dom. Zaznaczała ją w każdej lśniącej powierzchni, w każdej poprawionej poduszce, w zapachu, którego nie potrafił określić, a który nie pochodził z żadnej butelki.

Po prostu była wszędzie. A on chciał, żeby znikła. Z jego domu i z jego życia. Im szybciej, tym lepiej.

Popęłnił błąd, rozmawiając z Kitty. Może szukał czegoś, co mogłoby uspokoić jego sumienie - jakiegoś usprawiedliwienia, potwierdzenia, że nie ma

żadnej formalnej umowy lub kontraktu. Tymczasem brak dowodu na piśmie nie ułatwiał sprawy. Zbyt późno to odkrył.

Oficjalna umowa chroniłaby obie strony. Miałby prawo wymówić, oczywiście w określonym terminie.

Tymczasem jego siostra uznała dżentelmeńską umowę za wystarczającą (gdyby wynajmowała własne mieszkanie, na pewno wszystko wyglądałoby inaczej) i nie pozostawiła mu wyboru. Musiał zachować się jak dżentelmen.

Gdy tak siedział, zaniedbując pracę, stopniowo uświadamiał sobie, że z ogrodu przez otwarte okno dochodzą różne dźwięki - głośny śpiew kosa siedzącego na krzewie bzu, brzęczenie pszczoł, cichy i rytmiczny stukot jakiegoś narzędzia.

Zamknął okno i wrócił za biurko, ale dźwięki wciąż rozbrzmiewały w jego głowie. Wściekły, wyszedł frontowymi drzwiami i obszedł dom dookoła, zdecydowany powiedzieć Ellie, by dała mu trochę spokoju.

Zobaczył ją pochyloną nad starym, kamiennym korytem. Wyglądała jak nieboskie stworzenie. Włosy miała ściągnięte do tyłu elastyczną gumką, a czoło pobrudzone ziemią. Krótkie szorty odsłaniały w całości kształtne nogi; na jednej z nich widniał siniak, lustrzane odbicie siniaka na jego udzie. Na nogach miała zniszczone, niebieskie tenisówki z czerwonymi sznurówkami, a jaskrawa, różowa koszulka przylegała do pełnych, kobiecych kształtów.

- Co robisz? - spytał ostro.

Ellie przepisała łacińskie nazwy paproci - na szczęście wydrukowane na plastikowych etykietkach wsuniętych do doniczek - i wysłała je mejlem do pani Cochrane wraz z propozycją artykułu o dziecięcych domkach do zabawy, a potem poczuła nagłe wyrzuty sumienia.

Laura Morrison postąpiła naprawdę uprzejmie, dając jej te paprocie. Musiała je posadzić. W ogóle nie przyszło jej do głowy, że powinna uzgodnić to z Benem Faulknerem. Niby dlaczego?

- Sąsiadka mi je podarowała - powiedziała, gestem dłoni wskazując doniczki. - Lubią wilgoć i cień. W przeciwieństwie do tych bratków, które za chwilę całkiem zmarnieją.

Kiedy nie odpowiadał, zerknęła przez ramię.

- Bratkom nigdy nie było tu dobrze. Zawsze kiepsko rosły.

Udręka, jaką dosłyszała w jego głosie, była widoczna również w wyrazie jego oczu. Poczula ucisk w sercu. Nie patrzył na nią, tylko na smutne, przerośnięte rośliny i ich maleńkie listki, świadczące o rozpaczliwym pragnieniu światła.

Ellie zaczęła się zastanawiać, kto je posadził.

Na pewno nie Ben. Nie zareagowałby tak emocjonalnie. Musiał to zrobić ktoś, na kim bardzo mu zależało. Sama przechowywała okropną, fioletową chryzantemę, którą podarował jej Sean, choć kwiat dawno przekwitł i zwiadł.

- Przepraszam, Ben - powiedziała, podnosząc ostrożnie bratki, po czym włożyła je korzonkami do wilgotnej ziemi, żeby nie wyschły. - Posadzę je gdzieś, gdzie będą szczęśliwsze. Zapytam Laurę Morrison. Ona będzie wiedzieć.

Przez chwilę miała wrażenie, że chciał jej powiedzieć, by dała sobie spokój, ale nie zrobił tego.

- Jeśli chcesz, żeby te rośliny przetrwały, potrzebny ci będzie świeży kompost - rzekł po dłuższej chwili.

- Masz na myśli bratki?

- Paprocie. Wydaje mi się, że rośliny leśne wolą kwaśne środowisko.

- Nie mam pojęcia.

- Ja też, tylko zgaduję. Ale w centrum ogrodniczym będą wiedzieć.

Pojedziemy tam?

- Po kompost? - Ellie wytarła pobrudzone ziemią ręce o szorty. - Mamy pojechać razem?

- Kompost jest pakowany w worki. Może się mylę, ale wydaje mi się, że na rowerze nie dasz sobie rady.

- Nie zamierzam nawet próbować. Może powinniśmy wziąć samochód Adeli? - zaproponowała. - Twój szkoda by było pobrudzić. Poza tym u Adeli jest więcej miejsca z tyłu.

- Masz rację. Szczerze mówiąc, jestem zaskoczony, że Adela nie zaproponowała ci, byś korzystała z jej auta. A może swoją własnością dysponuje mniej swobodnie niż moją?

- Proponowała mi. Nie umiem prowadzić.

- Nie umiesz?

- Próbowałam. Sean bardzo się starał. Ale nie potrafiłam skoordynować ruchów ręki i nogi, no i jeszcze patrzeć na drogę.

Na twarzy Bena pojawił się wyraz przelotnego rozbawienia, co przez chwilę pozwalało podejrzewać istnienie całkiem innego Bena Faulknera.

Ben omawiał z kimś z obsługi techniczne szczegóły dotyczące kompostu, a Ellie zajęła się oglądaniem cudownych, kolorowych kwiatów, różnorodnych krzewów w doniczkach i nowych, lśniących narzędzi.

Ben podszedł do niej, kiedy podziwiała błyszczącą gracę z nierdzewnej stali.

- Możemy już wracać?

- Hmm - mruknęła, odkładając narzędzie na miejsce. - Wiesz co? Naprawdę mogłabym zająć się ogrodnictwem.

- Oczywiście, jeśli nie musiałabyś dokończyć najbardziej romantycznej powieści na świecie.

- Jest skończona. Dzisiaj otrzymałam jedenastą odmowę.

- Jedenastą? Dopiero? A więc daleko ci jeszcze do niektórych największych pisarzy.

- Nie pretenduję do wielkości. Zresztą, na pewno ich utworów nikt nie nazwał stereotypowymi. - Nie mogła uwierzyć, że mu o tym opowiada.

- Może powinnaś przestać naśladować Emily Bronte i postarać się napisać coś o własnym życiu? - nieśmiało zasugerował.

No właśnie, nie starał się jej współczuć, nie usiłował pocieszać, sugerując, że agenci są głupi, a wydawcy ślepi, a takie irytujące teksty stale słyszała w klubie pisarskim.

- Wszystko już obejrzałaś? - spytał po chwili.

- Tak. - Ale zaraz zmieniła zdanie. - Możemy jeszcze zostać kilka minut?

- Nigdzie się nie spieszę.

Zaprowadziła go tam, gdzie w szklanych klatkach trzymano małe króliczki i świnki morskie. Ciepły, piżmowy zapach zwierząt zmieszany z zapachem trocin przywołał wspomnienia z dzieciństwa.

- Mój tata przyprawdzał mnie tu, kiedy byłam mała. - Pochyliła się i wyjęła z klatki lśniącego, czarnego jak smoła króliczka. - Bardzo chciałam mieć królika. Właśnie takiego. - Delikatnie pogłaskała zwierzę.

- Po co? One do niczego się nie nadają.

- Są miękkie i puszyste.

- Tak samo jak pluszowe zabawki. A z zabawkami jest mniej pracy.

- Ale nie są ciepłe. - Ellie zerknęła na Bena. - Może to taka dziewczęca potrzeba. - Westchnęła. - Biedne stworzenia. O większości z nich dzieci zapomną po tygodniu lub dwóch, więc spędzą życie w ciasnych klatkach, na łasce matek, które będą musiały je karmić.

- Matki są głupie, że je kupują. Ellie odwróciła się.

- Daj spokój! Nigdy nie prosiłam mamy, żeby kupiła ci zwierzątko?

- Moja matka umarła, kiedy byłam mała.

- Och... przykro mi.

- Psy - powiedział. - Zawsze mieliśmy psy.

- Nigdy nie pozwolono mi mieć psa.

- Gdyby dano mi wybór - rzekł - wolałbym mieć matkę niż psa.

Do diabła! Nareszcie udało się mu przerwać to jej nonsensowne gadanie. Ale gdy zobaczył jej zbolaną twarz, pożałował, że nie trzymał języka na wodzy.

- Mój ojciec miał czarnego labradora - powiedział, próbując zatrzeć niemiłe wrażenie. - Ja miałem golden retrievera i kilka kundli. Był też seter irlandzki, którego Adela przyniosła ze schroniska. Wiesz, ty przypominasz mi...

- Adele?

- Nie, setera. Ellie uniosła brwi.

- Ale ja nie jestem ruda.

- Chodzi o charakter. Jesteś tak samo rozbrykana, hałaśliwa i masz ptasi mózdzek. Nigdy nie wiesz, kiedy przestać.

Jej oczy również przypominały oczy setera. Były duże, wyraziste, w kolorze ciepłego brązu. Niczego nie mogły ukryć. Każda myśl odbijała się w nich jak w lustrze.

- Ptasi mózdzek? To chyba zbyt surowa ocena - obruszyła się Ellie, ale po chwili wzruszyła ramionami. - A zresztą, może i nie. A więc żadnych kotów, królików, świnek morskich, chomików - ciągnęła niewzruszona. - A myszki? Na pewno miałeś myszki. Wszyscy chłopcy hodują myszy.

- Sama odpowiedziałaś sobie na pytanie, prawda? Skończyłaś już?

- Tak. - Ellie wsadziła królika do klatki. Przez chwilę stała i patrzyła na niego z tęsknotą. - Nie powinnam była tutaj przychodzić. - Westchnęła. - Kiedy byłam dzieckiem, nigdy nie przyszło mi do głowy współczuć królikom. Teraz nie będę w stanie przestać myśleć... - Już prawie doszli do kasy, kiedy nagle się zatrzymała. - Poczekaj chwilę!

- Ellie! - zawołał Ben ostrzegawczo.

- Zaraz wracam!

Rzeczywiście, po chwili wróciła z dużą terakotową donicą.

- Chciałabym kupić jeszcze to.

- Dzięki Bogu. Już się bałem, że wróciłaś po królika.

- Być może mam ptasi mózdzek, ale nie jestem beznadziejnie głupia - oświadczyła, wyjęła z torebki portmonetkę i wyciągnęła z niej dwudziestofuntowy banknot.

- Schowaj pieniądze, Ellie.

- Och, ale...

- To moje koryto. Ja kupuję kompost.

- Ale donica...

- Będzie stała w moim ogrodzie.

- A jeśli zechcę ją zabrać, kiedy będę się wyprowadzać?

- Nie denerwuj mnie pustymi groźbami. Obydwoje wiemy, że nigdzie się nie wybierasz - zirytował się Ben i dodał: - Rób, jak chcesz, ale jeśli zapłacisz, będziesz musiała wrócić po to rowerem.

Ellie zacisnęła wargi i bez dalszego sprzeciwu postawiła donicę na taśmie. Wyglądała jak uosobienie powściągliwości.

- Do diabła!

- Co się stało? - spytała przestraszona. - Co takiego zrobiłam?

Nic. Nie musiała nic robić. Była dokładnie taka sama, jak ten cholerny seter; miała serce w oczach. Na nic się zdała opanowana mina. Zdradziły ją oczy.

- Idź i weź tego cholernego królika!

Radość i zdziwienie pojawiały się na przemian na jej twarzy, walcząc o zwycięstwo.

- Nie mogę...

- Nie możesz?

- To nie takie proste. Teraz moja kolej na odegranie roli odpowiedzialnej matki, Ben. Gdzie on będzie mieszkał?

- Sprzedają tu chyba takie składane domki dla zwierząt, prawda?

- Tak. - Przełknęła ślinę.

- Co jeszcze?

- Potrzebna będzie również jakaś zagroda, żeby miał gdzie biegać.

Ben zdał sobie sprawę, że Ellie specjalnie mnoży trudności, chcąc dać mu szansę, żeby się wycofał. I tak nakazywał zrobić zdrowy rozsądek.

- Obok jest skład budowlany. Kupimy paliki i drut.

- Naprawdę się zgadzasz? Tak. Nie.

- Gdyby było inaczej, nie proponowałbym. Ellie pokręciła głową.

- To dziwne. Brak mi słów.

- Niesamowite! - Nieoczekiwanie na jego twarzy pojawił się uśmiech. - I to wszystko dzięki królikowi? Niewiarygodne!

Odpowiedział mu radosny, głośny śmiech.

- Nie będziesz żałował - obiecała Ellie.

- Och, jestem pewien, że będę. Radzę ci się pospieszyć.

- Dobrze, potrzebuję pomocy. Z klatką. I z resztą...

- Ja zajmę się klatką, a ty resztą.

- Musi być dość wysoka - podkreśliła. - Króliki muszą mieć możliwość wyprostowania uszu.

- Żartujesz?

- Nie!

Jak to się stało, że widział tylko jej łagodne oczy, a nie zauważył pełnego determinacji podbródka? Jak to się stało, że zamiast siedzieć w zaciszu swego gabinetu i zajmować się odczytywaniem niedawno odkrytych wczesnych tekstów w języku devanagari, kupuje podściółkę dla królika? Jak to się stało, że zobowiązał się wybudować wybieg dla królika kobiety, która nie miała prawa mieszkać w jego domu?

- Dobrze, że wzięliśmy samochód Adeli - powiedziała, kiedy podnosił próżniowo opakowaną belę siana. - Nie zmieścilibyśmy tego w twoim sportowym wozie.

- Mój błąd - powiedział.

- Wcale tak nie myślisz. - Jej oczy błyszczały. - Jesteś dobrym aktorem, Ben, ale ja wiem, że nie jesteś takim zrzędą, jakiego udajesz.

- Ależ jestem - powiedział do jej pleców. - Naprawdę. Ellie, nie odwracając się, zbyła jego słowa machnięciem ręki.

Po pewnym czasie wróciła obładowana kartonowymi pudłami, a idący za nią sprzedawca niósł zapas karmy, miseczki i pojemniki na wodę.

- Króliki to towarzyskie stworzenia - powiedziała, niewzruszona przerażonym wyrazem twarzy Bena.

- Tylko nie drugi królik! - zastrzegł możliwie stanowczo Ben.

- Och, daj spokój. Nie jestem aż taka tępa - powiedziała, a kiedy spojrzał na nią z powątpiewaniem, zapewniła:

- Naprawdę. Tu - podniosła mniejsze pudełko - jest Nigel. Świnka morska. A ty - powiedziała, stając na palcach i niespodziewanie całując go w policzek - jesteś bardzo dobrym człowiekiem.

Nagle zachwiała się, a ponieważ obie ręce miała zajęte, Ben musiał ją chwycić za ramiona i podtrzymać. Jej skóra była ciepła i gładka jak jedwab, a oczy, usta oraz cała twarz promieniały jak u dziecka w dniu urodzin. Przez moment zapragnął ją pocałować.

Jak jej się udało to zrobić? Co za życiowy zwrot - od wielkiej tragedii do ogromnej radości.

Ben, ubrany w wytarte dżinsy, drewnianym młotem wbijał kołki w ziemię w zacienionym miejscu trawnika. Ellie, która właśnie niosła mu kawę, zatrzymała się na chwilę. Jego widok sprawiał *jej* prawdziwą przyjemność.

- Czy mogę w czymś pomóc? - spytała, kiedy się wyprostował, by wytrzeć czoło rękawem koszuli.

- Myślę, że zrobiłaś już dość jak na jeden dzień.

- Ja? To był przecież twój pomysł.

- Oczywiście. Kiedy zaproponowałem wyprawę do centrum ogrodniczego po worek kompostu, rzeczywiście miałem szczerzy zamiar wrócić z tą całą menażerią.

- Jesteśmy ci bardzo wdzięczni.

- My?

- Roger, Nigel i ja - odparła Ellie, a po chwili dodała: - Właściwie wszyscy uważamy, że powinienesz wziąć jeszcze psa. Dla siebie.

- Czyżby kot nie miał w tej sprawie nic do powiedzenia? - I zanim Ellie zdążyła odpowiedzieć, wyjął z jej ręki kubek z kawą. - Żadnego psa - oświadczył. - Zresztą, niedługo prawdopodobnie wyjadę znowu do Kirbekistanu.

- Ale ja zostanę i będę mogła się nim opiekować... A on mną.

- Innymi słowy, ty chcesz mieć psa.

- Pies pasowałby do tego domu.

- Żadnych psów!

- W porządku. - Ellie odwróciła się.

- Mówię serio, Ellie.

Podniosła rękę na znak, że przyjęła do wiadomości, ale Ben wcale nie był tego pewien.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Z redakcji nadeszła druga porcja listów; Ellie spędziła całe popołudnie, odpowiadając na nie na firmowym, kremowym papierze.

W swoim felietonie opisała pobyt w centrum ogrodniczym, zapoznała czytelników z małym, czarnym królikiem i świnką morską, które dołączyły do rodzinnej menażerii. Opisała, jak tatuś przy pomocy podekscytowanych dzieci wybudował dla nich specjalny domek i obszerny wybieg na zacienionej części porośniętego stokrotkami trawnika.

Naszkiecowała królika i świnkę morską, a także gigantyczną doniczkę, z której wylewały się bratki. Korzystając z rady Laury, przesadziła je i ustawiła w półcieniu, gdzie być może przy odrobinie szczęścia odżyją.

Pani Cochrane poinformowała, że fotoreporter już pracuje nad zdjęciami domków. Dała również do zrozumienia, że w kolejnym miesiącu życzyłyby sobie artykułu na temat jedzenia.

To mogło być trudne. Ellie nie przywiązywała wielkiej wagi do jedzenia. Trudno, trzeba się z tym zmierzyć. Może spróbowałyby ugotować coś dla Bena? Jako specjalne podziękowanie. To by miało przynajmniej jakiś sens.

Pełna entuzjazmu, zapytała o radę jednego ze swoich klientów, znakomitego kucharza, a potem zrobiła odpowiednie zakupy.

W domu uaktualniła pamiętnik, a potem wyjęła swoją odrzuconą książkę.

Zwlekała z wysłaniem jej do kolejnego wydawnictwa. Może Ben miał rację? Może zamiast naśladować swoich idoli, powinna opisywać własne doświadczenia? Obrazki z życia zwariowanej dziewczyny wykonującej rozmaite prace dla bogatych i próżnych tego świata.

To mogłoby się sprzedać. Tak rozmyślając, wyszła do ogrodu zanieść Rogerowi i Nigelowi marchewkę, a kiedy zauważyła, że w walce pomiędzy trawą i mleczem, mleczone zdecydowanie brał górę, wyciągnęła kosiarkę. Co prawda, Ben miał się tym sam zająć, ale jednostajne, bezmyślnie wykonywane

czynności przynosiły Ellie uspokojenie. Przy pracy wszystko wydawało się prostsze.

Ostatnio, niestety, sprawy bardzo się skomplikowały.

„Milady”. Ben. Ben. „Milady”. Ben...

Kosiła już jakiś kwadrans, kiedy zobaczyła go, jak wychodzi z za rogu domu. Wyglądał wspaniale w ciemnej koszuli, dobrze skrojonych szarych spodniach, z rozwianymi nad czołem włosami.

- Stop!

Ellie za późno zdała sobie sprawę, że zjechała z trawnika. Zaczęła szukać pedału hamulca, a nie mogąc go znaleźć, spojrzała w dół.

- Co ty, do diabła, wyprawiasz?

- Co słyhać, doktoru? - Udało się jej w końcu zatrzymać maszynę, zanim skosiła rosnące na grządce byliny.

- To nie najlepszy pomysł - krzyknął Ben.

- Przepraszam.

- Właśnie zaprezentowałaś swoją nieumiejętność koordynacji wzrokowo-ruchowej.

Ellie uśmiechnęła się serdecznie.

- Stanowisz zagrożenie dla otoczenia.

- Uspokój się. Koszę trawę, nie jeżdżę po miejskiej obwodnicy. Nie ma tu na kogo wpaść, no, może poza tobą, ale ty potrafisz sprytnie uniknąć niebezpieczeństwa.

Niezupełnie. Gdyby był sprytniejszy, już dawno pozbyłby się Ellie March i jej powiększającej się z dnia na dzień menażerii.

- Jaki sport uprawiasz? - zmieniła temat. - Założę się, że rugby. Na skrzydle, prawda?

- Zejdź z kosiarki, natychmiast!

- Ach, rozumiem. - Ellie rozparła się na siodelku. - To zabawka dla chłopców. Dziewczętom pozostaje nudne grabienie trawy. - Pokręciła głową. -

Mój ojciec był taki sam. Najlepsze rezerwował dla siebie, a potem dziwił się, dlaczego nie chcieliśmy się bawić. - Przerzuciła jedną nogę wysoko ponad kierownicą, oferując zapierający dech widok, po czym zsunęła się z siodełka. - I tak już prawie skończyłam. Został jeszcze tylko kawałek przy domku na drzewie.

Ben spojrzał w kierunku starego dębu.

- Jakiego domku? Nigdy nie było tu żadnego domku na drzewie!

- Nie było? - Twarz Ellie była zaróżowiona od słońca, ale pomimo to Ben mógłby przysiąc, że się zaczerwieniła. - A powinien być. Te gałęzie tak się rozrosły, że tworzą idealną platformę na domek. Nie do wiary, że twój ojciec nie wybudował ci tam jakiejś dziupli, kiedy byłeś dzieckiem.

- Kiedy się urodziłem, mój ojciec był sporo po pięćdziesiątce. A kiedy dorosłem do odpowiedniego do takiej zabawy wieku, ojciec nie mógł już wspinać się po drzewach.

- W porządku, nie chciałam...

- Nie pomyliłem się, Ellie. Jesteś dokładnie taka sama, jak głupi irlandzki seter Adeli. Łapiesz się pierwszej rzeczy, jaka przychodzi ci do głowy, i nie wiesz, kiedy należałoby przestać.

- Niektórzy ludzie sądzą, że to dobra cecha - powiedziała, a potem dodała:

- To znaczy wytrwałość.

- Najwyraźniej nie byli przedmiotem twoich dociekań - burknął i próbując odwrócić rolę, spytał: - A co z tobą?

- Ze mną? Chcesz dowiedzieć się czegoś o mojej rodzinie? Mama jest wspaniałą kucharką, członkiem Instytutu Kobiet, pracuje charytatywnie. Tata jest urzędnikiem w administracji państwowej. Podatki. - Potrząsnęła głową. - Nie mówimy o tym poza rodziną. Moja siostra jest podobna do ojca. Polubiłbyś ją. Jest rozsądna i ustatkowana...

- Nie o to mi chodzi. Powiedziałem, że skoszę trawę po powrocie do domu, więc dlaczego to robisz, kiedy powinnaś pisać? Czy pisanie nie jest

powodem, dla którego zrezygnowałaś ze swojej właściwej kariery? Ze swojego dotychczasowego życia?

- Potrzebuję czasu na przemyślenia, a przy koszeniu trawnika świetnie się myśli. I wcale nie zrezygnowałam ze swojego życia.

- A kiedy ostatni raz byłaś na randce?

- Dobre pytanie. A ty? - spytała i zanim zdążył odpowiedzieć, dodała: - Wychodzisz dzisiaj na kolację? Wypróbuję pewien przepis i potrzebuję kogoś, kto by obiektywnie ocenił moje dzieło. Nie wątpię, że w tej kwestii mogę na tobie polegać.

- Unikasz odpowiedzi.

- A ty nie? Nie jestem jeszcze gotowa na randki. A jakie ty masz usprawiedliwienie?

Zapadła niezręczna cisza. Ben pożałował, że nie poszedł prosto do domu.

- Nie zrezygnowałam ze swojego życia, doktoru. Idę po nie. - Ellie stała z dłońmi opartymi na biodrach, w tak pewnej pozie, jakby zamierzała wziąć na ramiona cały świat. - Mam już za sobą wszystkie rozsądne decyzje i kompromisy.

- A więc teraz lecisz balonem?

- Tak daleko, jak zanosą mnie podmuchy wiatru.

- Jesteś pewna, że nie uciekasz?

Przez chwilę patrzyła na niego zaszokowana.

- Nie! - wykrzyknęła.

- Nie? Więc dlaczego, skoro postanowiłaś latać, nie wróciłaś do swojej pierwszej miłości i nie zapisałaś się na Akademię Sztuk Pięknych?

Ellie zaczerpnęła powietrza, ale nie była w stanie nic powiedzieć. Po prostu otworzyła usta, a potem je zamknęła.

- A więc? - naciskał Ben, pewien, że przebił zewnętrzną skorupę i dotknął czegoś miękkiego i kruchego w jej wnętrzu.

- Za późno. - Ellie opuściła ramiona i straciła cały animusz. - Jestem już inną osobą.

- Ludzie aż tak się nie zmieniają.

- Może wcale tak bardzo tego nie chciałam.

- A może - spekulował Ben - byłaś zbyt wystraszona, żeby po to sięgnąć?

Może właśnie dlatego nie próbowałaś przekonać ojca?

Ojca? Kiedy zdążyła mu powiedzieć, że to właśnie ojciec ją zniechęcił?

Potrząsnęła głową. To nie miało znaczenia.

- Co to ma być? Ankieta psychologiczna? Sam nie żyjesz pełnią życia.

Dostajesz mnóstwo zaproszeń. Opróżniałam kosz, więc wiem, gdzie lądują. Kto wprowadził taki zamęt w twoje życie, doktoruku?

Teraz on zrobił podejrzliwą minę.

- Życie nie jest próbą teatralną, tylko długim wieczorem premierowym - dodała Ellie.

- Może nie podoba mi się scenariusz?

- W takim razie zmień go. Zostałeś wypchnięty na scenę, ale reszta zależy od ciebie. Najważniejsze to się ruszać - powiedziała i jakby chcąc zademonstrować, jak to powinno wyglądać, odwróciła się i zaczęła odchodzić.

Miała na sobie opinające biodra przykrótkie spodnie, które podkreślały wszystkie krągłości, a kiedy szła, jej ciemne, gęste włosy, upięte w koński ogon kołysały się kusząco. Efekt był hipnotyzujący.

- Natasza! - zawołał za nią Ben, żeby przynajmniej przestała się kołysać. Żeby została. - Miała na imię Natasza.

Zadziałało. Zamiast ponętnych bioder mógł teraz podziwiać jej piersi w okowach ciasno dopasowanej, krótkiej kamizelki. Widział je już w negliżu tamtego wieczoru, gdy zawoził ją do Hali Zgromadzeń, kiedy nie zważając na jego obecność, zdjęła bluzkę.

Nigdy nie podniecał się zbyt oczywistymi erotycznymi atrybutami kobiecej urody, takimi jak szerokie biodra, wydatne piersi czy talia osy, ale tamtego popołudnia kształty Ellie bez wątpienia wywarły na nim wrażenie.

Tak samo jak dziś.

Chociaż jego umysł zaprzętał teraz inny problem, jego ciało po prostu samo pakowało się w kłopoty. Nieświadomie zrobił krok w jej stronę.

- Była wysoka, jasną blondynką, szczupłą, świetnie ubraną. Chodząca doskonałość - powiedział, jakby przywołany we wspomnieniu jasnozłoty obraz Nataszy mógł w jakiś sposób uchronić go od zmysłowego pociągu do Ellie March.

- Mówiła płynnie dziesięcioma językami, a siedmioma innymi na tyle dobrze, żeby podtrzymać konwersację. Po prostu ideał. Kochałem ją. - Zatrzymał się piętnaście centymetrów od Ellie. Dostatecznie blisko, żeby wyczuć zapach kępek trawy, które przylepiły się do jej wilgotnej skóry, i dostatecznie blisko, żeby wyczuć ciepło jej ciała.

- Czas przeszedł, Ben? - Jej oczy złagodniały, a głos uwiązł w gardle.

- Tylko w odniesieniu do mojego życia. Zaoferowano jej pracę na najwyższym szczeblu Organizacji Narodów Zjednoczonych.

- Przyjęła ofertę? - spytała Ellie. Spodziewała się wielkiej tragedii, niepowetowanej straty, a tymczasem usłyszała banalną historię o ambicji wygrywającej z uczuciem. Żadnej namiętności. Nie była to opowieść pobudzająca jej wyobraźnię. - Nie - odezwała się po chwili, odpowiadając na swoje pytanie. - Jeśli ją przyjęła i odeszła, dałbyś sobie z nią spokój. Zachęcałeś ją do odejścia, prawda? Poświęciłeś się? - Skinęła głową ze zrozumieniem. - Tak, to właśnie miłość.

- Nie, to pragmatyzm. Widzisz wyraz oczu kochanej osoby, Ellie, i wiesz, że nawet kiedy cię zapewnia, że to nic, nawet jeśli próbujesz w to uwierzyć, zaczarować rzeczywistość, wiesz, że to koniec. Że przegrałeś. Że tak czy inaczej

ona musi odejść. To było życie, do którego została stworzona. Nie chciałem, żeby czuła się winna, że je wybiera.

- Pragmatyzm. Miłość. To tylko słowa. Liczy się motywacja. Uczucie, które napędza działanie. - Przerwała, jakby chcąc złapać oddech. - A teraz ja jestem tutaj, na jej miejscu. I ożywają wspomnienia.

- Tak - odpowiedział Ben. Kłamstwo nie miałoby sensu. A potem, ponieważ pasmo ciemnych włosów przykleiło się do jej policzka, ponieważ była zaróżowiona od słońca, ponieważ martwiła się losem królików i pisała głupie romanse zamiast naukowych rozpraw, dodał:

- I nie. - Wziął ją za rękę i popatrzył na palce poplamione zielenią. - Ty nie jesteś doskonała.

- Wiem. Mam ptasi mózdzek, pięć kilo nadwagi, nie robię kariery i mogę rozmawiać zaledwie w pięciu językach.

- W pięciu?

- Umiem policzyć do dziesięciu po francusku, włosku, niemiecku i walijsku - odpowiedziała.

- Po walijsku?

- Nie wspomniałam ci, że moja prababka była Walijką?

- Jesteś pewna, że potrafisz policzyć aż do dziesięciu? Zresztą to tylko cztery języki.

Uśmiechnęła się.

- Nie zapominaj o angielskim.

Ben usłyszał własny śmiech. Co ona powiedziała? Że tak długo nie ma znaczenia, co się robi, jak długo robi się cokolwiek?

- Mam na sobotę zaproszenie na ślub. Naprawdę nie mogę się od tego wykręcić. Czy poszłabyś tam ze mną? - a nie usłyszawszy natychmiastowej odpowiedzi, dodał:

- Oczywiście, jeśli nie wynajęłaś się tam w zawodowym charakterze?

Pokręciła głową.

- Nie pracuję na weselach.

- No, tak. To byłoby dla ciebie... trudne.

- Okropne. Zawsze mogłoby się zdarzyć, że musiałabym częstować szampanem kogoś, kto był na tym samym roku co ja i może właśnie został gwiazdą mediów, albo, co gorsza, właśnie poślubia taką gwiazdę.

Ben powinien chyba się roześmiać, ale nie potrafił. Nie mógł się zdecydować, czy jej gorzki humor świadczył o dzielnym znoszeniu osobistej tragedii czy może był ucieczką od konfrontacji z bólem. Spodziewał się raczej tego drugiego.

- Ten ślub odbędzie się w Londynie. Moja kuzynka, rówieśniczka Adeli, wychodzi za mąż po raz drugi. Pan młody jest maklerem giełdowym, więc powinnaś być bezpieczna. - Czekał na odpowiedź. - Jeśli pójde sam, będę tam sterczał jak kołek. Pomyślą, że jestem ukrytym gejem albo smutasem, który nie potrafi poderwać dziewczyny.

- W porządku. Chcesz, żebym służyła ci za parawan przed wścibskimi ciotkami, które próbują cię wyswatać.

- Przez jej twarz przebiegł cień. - To wystarczy. Ale jeden warunek.

- Tak, słucham?

- Nie żartowałam, zapraszając cię na domową kolację. Na małą przekąskę.

- Jej uśmiech, zwykle pełen pewności siebie, tym razem wyrażał zakłopotanie.

- To zysk obustronny.

- Poczekaj, nie gratuluj sobie, dopóki nie spróbujesz. Moje kulinarne zdolności są dość ograniczone.

- Zaryzykuję. Poza tym chciałbym cię wykorzystać. Pomożesz mi wybrać prezent dla pary, która właściwie ma wszystko.

- Nie ma problemu. Kup im kozę.

- Co?

- Sam powiedziałeś, że mają wszystko, więc kup kozę albo podaruj w ich imieniu udziały w plantacji mango jakiejś rodzinie z Trzeciego Świata, dla

której los nie był tak łaskawy. Przynajmniej będą mieli o czym opowiadać na przyjęciach.

- Jak, do licha, wpadłaś na taki pomysł?

- Może jestem mądrzejsza, niż na to wyglądam?

Ślub? Ellie zrzuciła z siebie poplamione trawą ubranie i obróciła się do lustra.

Niezbyt wysoka. Nie blondynka. Na pewno nie szczupła, pomyślała, szczypiąc wałek tłuszczu w talii.

Ściągnęła opaskę z końskiego ogona i rozpuściła włosy. Nic z lady Gabrieli, a co dopiero ze zjawiskowej Nataszy posługującej się siedemnastoma językami. To tylko zwykły nadmiar ciała Ellie March.

W co mogłaby się ubrać na elegancki ślub w Londynie? A co włożyłaby lady G.?

Ellie skrzywiła się. Ben zaprosił ją, więc powinna być sobą. Nie swoim alter ego ani nie gorszym wcieleniem

Nataszy. Przez otwarte okno usłyszała warkot kosiarki. Nie mogła się powstrzymać i wyjrzała.

Ben przebrał się w szorty i podkoszulek. Miał wspaniałe nogi. Nie żadne ciastowate białasy, które nigdy nie widziały słońca, ale dobrze umięśnione nogi sportsmena, porośnięte jasnymi włoskami, które błyszczały w wieczornym słońcu.

Ellie cofnęła się.

Przypomniała sobie ten moment, kiedy ujął jej dłoń, i poczuła gorący dreszcz.

Pożądała go. Pragnęła. I to nie tak, jak pragnie się przystojnego faceta, o czym często żartowała z Sue, nie tylko fizycznie, ale o wiele głębiej. A myślała, że to już nigdy się jej nie przytrafi.

Z Seanem było inaczej. Znała go przez całe życie. Walczyła z nim w szkole podstawowej, mając dziesięć, jedenaście lat, uparcie ignorowała. Kiedy

miała trzynaście, on uśmiechnął się do niej, a ona się zaczerwieniła. On też się zarumienił. A potem już zawsze byli razem. Ellie i Sean.

Razem odrabiali lekcje, chodzili na szkolne dyskoteki, przeżyli pierwszy pocałunek, potem pierwsze erotyczne doświadczenie. Robili wszystko razem. Po raz pierwszy i ostatni.

Nigdy się nie rozstawali.

Ellie czuła się przy Seanie bezpiecznie. Wiedziała, że nigdy jej nie zrani.

Dopiero kiedy umarł...

Dzisiaj po raz pierwszy od jego śmierci coś ją poruszyło wewnątrz. Napędzała ją jakaś niepokojąca, nieostrożna potrzeba prowokowania Bena, tak, by ją zauważył, by na nią popatrzył. I rzeczywiście go sprowokowała.

Nie spodziewała się, że ją zaatakuje, ośmielając się sugerować, że uciekała od swojej przeszłości, zamiast dążyć do przyszłości, której pragnęła.

Dotarł do niej i zrobił coś, czego nie potrafiła zignorować. Poprosił ją o pomoc.

To nic trudnego. Miała pójść z nim na ślub.

Ale nie chodziło o zaproszenie ani o ślub.

Problem polegał na tym, że dla Bena był to tylko niezbyt miły obowiązek, natomiast dla niej...

Ellie przestraszyła się.

To było już tak dawno temu. Od śmierci Seana minęły trzy lata. Od tamtej pory nie miała nikogo. Owszem, flirtowała, ale tylko w niezobowiązujący sposób z mężczyznami, których znała, którzy nie stanowili zagrożenia, którzy rozumieli, że o nic jej nie chodziło. Nie naprzykrzali się, ponieważ wiedzieli, że ona należała i będzie należeć tylko do Seana.

A teraz jakimś sposobem Ben Faulkner przełamał jej linie obronne. Kiedy to się stało?

Odkręciła prysznic i weszła pod strumień gorącej wody. Szorowała zielone plamy na palcach i paznokciach, myła włosy, jakby w ten sposób mogła wypłukać Bena z porów swojej skóry.

Ale to nie działało. Wciąż czuła dotyk jego dłoni na swojej, chropowatość jego skóry, blizny pamiątki po pobycie w Kirbekistanie. Drżała wewnętrznie z tęsknoty za sięgnięciem po coś niebezpiecznego, po coś, co ją przerażało.

Ben Faulkner nie był podobny do Seana Marcha. Jeśli się w nim zakocha, zostanie zraniona. To będzie miłość bez wzajemności.

Przełknęła ślinę, usiadła na taborecie w łazience, pochyliła się do przodu i ukryła twarz w ręczniku.

Jeśli...?

Było już za późno. I to od pierwszej chwili, kiedy upadła na niego. Za późno od pierwszego słowa, które do niego powiedziała... Idiota.

To było również pierwsze słowo, jakim obdarzyła Seana, kiedy pewnego ranka jako pięciolatek zderzył się z nią, pędząc do szkoły. Potem, niezależnie od tego, jak się wzajemnie ignorowali, zawsze już mieli świadomość istnienia tej drugiej osoby.

Zachowywali dystans, gniewali się, docinali sobie, wyśmiewali się z siebie, obchodzili się z daleka, aż pewnego dnia znaleźli się twarzą w twarz, sami na korytarzu. I kiedy nikt nie mógł tego widzieć, Sean uśmiechnął się do niej.

- Sean? - szepnęła w rozpaczy. - Gdzie jesteś?

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Ben nie mógł się uspokoić. Skończył kosić trawę i schował kosiarkę. Wziął prysznic i poszedł do kuchni. Przystanął w drzwiach. Ellie nie odezwała się i nie zrobiła nic, co by sugerowało, że zdaje sobie sprawę z jego obecności.

Nie musiała.

Kiedy była w domu, panowało między nimi przedziwne uczucie świadomości istnienia tej drugiej osoby. Kiedy jej nie było, w domu panowała pustka. Ściany zdawały się odbijać echo, jak w pokoju bez dywanu.

Pierwszą reakcją Bena była złość. To przecież nie jej dom. Nie pasowała do niego. Natasza była ekspertem w japońskiej sztuce układania kwiatów. Ellie wolała naturalny styl, polegający na tym, że wsadzała do wazonu wszystko, co jej się podobało - liście, stokrotki, a nawet, o zgrozo, mlecze!

Ben powstrzymywał się od komentarzy, doskonale wiedząc, że im więcej czasu z nią spędzi, tym trudniej mu będzie ją ignorować.

- Czy mogę ci w czymś pomóc? - spytał.

- Wystarczy, jeśli spróbujesz skończone danie - powiedziała, nawet na niego nie patrząc, skupiona na krojeniu cebuli.

- Co gotujesz? - zapytał, biorąc z lodówki piwo. - Podać ci coś?

- Nie, dziękuję.

Wzruszył ramionami, po czym oparł się biodrem o stół, otworzył puszkę i pociągnął łyk. Wziął z talerza kilka orzeszków pistacjowych.

- Wygląda interesująco. - Nie rezygnował. Przecież nie pozwoli się odprawić. W końcu to jego kuchnia.

Ellie zerknęła w jego stronę.

- Proszę cię, mógłbyś wyjść? To dla mnie dostatecznie trudne bez publiczności. Przestań! - Klepnęła go po ręce trzonkiem noża, kiedy sięgnął po kolejną garstkę orzechów. - Wszystko dokładnie odważyłam.

- Kura, orzechy, przyprawy, szalotki... - Podniósł małą miseczkę z kilkoma żółtymi nitkami. - Czy to szafran?

- Tak. - Ellie westchnęła, wyraźnie dając mu do zrozumienia, że ma ją zostawić w spokoju. - To danie marokańskie. Kuskus z ziołami, orzeszkami i granatem. - Spojrzała na niego ostro. - Oczywiście, jeśli jakieś orzeszki jeszcze zostaną.

- Nie zjem wszystkich, nie bój się - zapewnił. Potrząsnęła głową.

- Właściwie nie krępuj się. I tak pewnie wszystko zepsuję.

- A co masz zamiar zrobić z kurczakiem?

- Tadżin z dodatkiem karmelizowanej cebuli i gruszki. Ben zawahał się, zanim powiedział:

- To brzmi interesująco.

- Interesująco? Dobre słowo - odparła Ellie, wruszając ramionami. - Dostałam ten przepis od jednej kobiety, u której sprzątam. Pożyczyła mi nawet książkę kucharską.

Powiedziała, że podstawową cechą tego dania jest prostota.

- Prostota?

- Podobno nawet głupiec potrafi to ugotować. Nie wspomniałam jej, że moje umiejętności kulinarne ograniczają się do wyboru dodatków do pizzy.

- A deser?

- To nie problem. Tarta cytrynowa, creme brulee, rolada czekoladowa.

- Aż trzy?

- Chcę sprawdzić, co wychodzi mi najlepiej.

- Hm... Więc gdzie idziemy na kolację?

- Wyluzuj. Wszystko jest już w lodówce.

- Naprawdę?

Otworzył drzwi do lodówki. Rzeczywiście, trzy gotowe desery stały na górnej półce.

- Wyglądają nieźle.

- Pieczenie to trudna sztuka - powiedziała Ellie i pociągnęła nosem.
Dopiero teraz zrozumiał, dlaczego na niego nie patrzyła. Płakała. - Prawdę mówiąc, kupiłam to wszystko.

- Daj spokój, nawet najlepsze gospodynie kupują czasem desery.

- Naprawdę? - Znów pociągnęła nosem.

Czyżby płakała z powodu braku talentów kulinarnych?

- Wszystko w porządku, Ellie?

- Jasne. - Zdobyła się na uśmiech. - To tylko katar sienny.

- Od kiedy?

- Słucham?

- Kiedy kosiłaś trawę, nie miałaś problemów.

- Wobec tego to pewnie cebula.

Możliwe. A może niepotrzebnie wyskoczył z tym zaproszeniem na ślub Emmy?

- A więc - powiedział, wskazując na stół - czemu to wszystko zawdzięczam?

Ellie rzuciła mu szybkie spojrzenie, a potem jej duże, brązowe oczy otworzyły się szeroko, a policzki stały się prawie tak różowe jak nos.

- Powiedziałaś, że chcesz wypróbować przepis. Wywnioskowałem, że trafiła ci się jakaś wyjątkowa okazja - mówił, a Ellie siekała cebulę tak gwałtownie, że w pewnej chwili ostrze noża omal nie spadło na jej palec. Ben drgnął. - Pozwól, że ja to zrobię. - Wziął od niej nóż.

- A więc?

- Tak. To wyjątkowa okazja. Za dwa tygodnie moja siostra ma urodziny. Pomyślałam, że przygotuję dla niej elegancką kolację.

- I to ma być próba generalna?

- Właśnie. - Tym razem uśmiechnęła się z ulgą. Bo uwierzył w to wyjaśnienie?

Czy Ellie March, patrząc mu prosto w oczy, byłaby zdolna zaserwować mu szyte grubymi nićmi kłamstwo? Najwyraźniej tak właśnie było. Ale dlaczego? Co próbowała ukryć?

Chyba że...

Nie była w stanie spojrzeć mu w oczy. Dziwne.

A może przyjęcie dla siostry to tylko wymówka. Może robiła to specjalnie dla niego. To usprawiedliwiłoby rumieniec.

Skończył siekać cebulę.

- Coś jeszcze? - spytał. Ellie pokręciła głową.

- Może wolałbyś ominąć główne danie i od razu przejść do deseru?

- Dlaczego?

- Chcesz ryzykować? A jeśli nie będzie ci smakować?

- Nonsens. Razem sobie poradzimy.

- Potrafisz gotować?

- Umiem czytać - powiedział, wycierając ręce i zdejmując z półki książkę kucharską. - Czy to takie trudne?

Dziesięć minut później cebula skwierczała na patelni, a Ellie mieszała ją ostrożnie i myślała, że to wcale nie takie trudne.

- Gotowe?

- Gotowe - powiedziała.

Dosypywała po kolei przyprawy, które podawał jej Ben. Na końcu włożyli mięso.

- Tylko ostrożnie, nie przypal - powiedział Ben, zmniejszając ogień pod patelnią. - Nie nauczyłaś się tego jako dziecko od matki?

- Nie. Na mnie w kuchni trzeba było uważać. Z siostrą było inaczej.

- Dlatego teraz chcesz jej zaimponować?

- Tak, to żalosne - zgodziła się. Dlaczego po prostu nie powie mu prawdy? Widzisz, Ben, wykorzystałam twój dom, twój ogród, a teraz, co gorsza,

także ciebie. A tę kolację przygotowuję po to, żeby móc przekonująco opisać przyjęcie...

Jak by to zabrzmiało? Zabawnie?

Dolała wody i przykryła rondel, a potem zwróciła się do Bena:

- No i co teraz?

- To robota na piętnaście minut.

- Aż tak proste?

- Jasne - zapewnił, ale kiedy zajrzał do przepisu, zawołał: - Ach, nie!

Teraz musisz zalać kuskus wrzątkiem i pozostawić go na piętnaście minut.

- Chyba sobie poradzę.

- Potem musimy jeszcze dodać szalotki do naszej zapiekanki.

- Do zapiekanki! - Zwróciła się w jego stronę, podparłszy się pod boki. -

Uważaj, co mówisz, Benie Faulkner! To nie jest żadna zapiekanka!

Roześmiał się.

- Ależ oczywiście. Przepraszam panią. Chcesz zejść do piwnicy, żeby pomóc mi wybrać butelkę?

Piwnica? Chyba żartował...

- Wody do płukania ust?

- Myślę, że stać mnie na coś więcej. Mój ojciec był sprzedawcą win.

- Naprawdę? - Ellie była przekonana, że przodkowie Bena od wielu pokoleń parali się pracą naukową.

- Nie próbuj mi wmówić, że nigdy tam nie byłaś. Czy do twoich obowiązków nie należy troska o cały dom?

- W piwnicy są pająki. Pajęczyny... - Ellie nie potrafiła opanować dreszczy. - Nie, nie, dziękuję.

- Czyżby mała fobia?

- Mała? Czy ja cokolwiek robię połowicznie? - Starła się uśmiechnąć. -

Przynies wino, a ja nakryję do stołu.

Kilka minut później znalazł ją w osłoniętym murem kącie ogrodu na tyłach domu. Wręczył jej kieliszek białego wina i w zamyśleniu patrzył na pięknie nakryty stół - obrus, serwetki, świeca w ozdobnym świeczniku.

- Zadałaś sobie wiele trudu jak na zwykłą próbę - skomentował.

Była to prawda. Żeby pisać o jedzeniu, musiała nie tylko powąchać gotujące się potrawy, ale poczuć smak zapadającego zmroku, przetestować świecę...

Dopiero teraz zobaczyła w tej sytuacji to, co widział Ben. Intymność. Nie planowała takiego nastroju.

- To świeca zapachowa - wyjaśniła. - Odstrasza skutecznie owady.

- Oczywiście.

- Naprawdę. - Spojrzała na niego. Do licha, nie... - Ja nie...

Uniósł brew.

Nie uwierzył. Myślał, że próbowała go uwieść. Jakby jej niewprawne gotowanie mogło prowadzić do jakiegokolwiek serca!

Odstawiła kieliszek.

- Pójdę po resztę rzeczy. Obserwował, jak szła do kuchni.

- Szkoda... - mruknął. - Szkoda.

Ogród, skąpany w ostatnich promieniach słońca, pogrążony był w jakimś błogim spokoju. Ciekawe... Nagle Ben pomyślał o przyszłości.

Przeszedł się po ogrodzie aż do wybiegu dla zwierząt. Chciał zamknąć Rogera i Nigela na noc. Pod wpływem impulsu podniósł króliczka, a zwierzak nerwowo wsunął łebek pod jego pachę.

Ellie miała rację, pomyślał. Królik był ciepły. I do tego ufał mu.

Kiedy wrócił do kuchni, Ellie mieszała kuskus.

- Przypuszczam, że Natasza była również wspaniałą kucharką? - spytała z urazą, nawet na niego nie patrząc.

- Pierwszorzędną - zapewnił, częstując się kolejnym orzeszkiem pistacjowym. - Potrafiła obrać cebulę i nie uронić ani jednej łzy. I nigdy się nie

denerwowała, smażąc kurczaka - powiedział, kiedy zamachnęła się na niego widelcem. - A jeśli obsiadły ją jakieś niechciane stworzenia, to po prostu zbierała je w ten sposób... - Ignorując jej groźny wzrok, uśmiechnął się i zdjął małego pajęczka, który właśnie wspinał się po jej ramieniu w kierunku szyi... - I wynosiła na zewnątrz.

Przeszedł przez drzwi i strzepnął bezbronne stworzenie na najbliższy klomb.

Kiedy wrócił do kuchni, Ellie stała jak słup.

Ruszała wprawdzie wargami, ale z jej ust nie wydobywało się żadne słowo. Była zupełnie sparaliżowana strachem.

- Już dobrze, Ellie - powiedział łagodnie. - Już go nie ma - zapewnił, a widząc, że zadrżała, objął ją i powtórzył: - Już dobrze.

Tak, było mu dobrze. Nawet bardzo dobrze.

Musnął wargami jej skroń, a potem podniósł jej dłoń do ust. Ellie otworzyła oczy, ale nie zareagowała złością. Po prostu patrzyła na niego tymi swoimi dużymi, brązowymi oczami.

- Dziękuję - udało się jej w końcu wykrztusić.

Ben przytulił ją, a ona położyła głowę na jego mocnym ramieniu.

- Lepiej? - zapytał, kiedy w końcu przestała drżeć. Spojrzała do góry.

- Tak, dziękuję. - Jej wargi zmiękły i rozchyliły się w swego rodzaju uśmiechu; była w nim i namiętność i odrobina zalotności. Ben nie potrafił określić, co jeszcze. Nachylił się i po prostu ją pocałował - delikatnie, jakby rozpoznawczo.

Ellie zadrżała. Najpierw czułe objęcie, dotyk jego warg na skroni, a teraz ten niespodziewany, delikatny pocałunek odebrały jej oddech.

Nie wiedziała, jak to się stało, że nagle znalazła się tak blisko niego. Puls walił jej w skroniach jak u sprintera, a świat nagle się zatrzymał.

W jej głowie rozbrzmiały dzwony...

No, niezupełnie w głowie. To raczej dźwięk dzwonka do drzwi.

Odskoczyli od siebie, jakby przyłapani na gorącym uczynku.

- Kawaleria przybywa z odsieczą - powiedziała Ellie.

- Nie posyłałem po nią.

Ale cieszył się, że nadeszła. Poznała to po jego twarzy.

- Ja to zrobiłam - przyznała, wzruszając ramionami. Wiedziałam, że mi nie wierzysz, więc... - Do diabła, znowu się zarumieniła. - Szczerze mówiąc, Ben, pomyślałam że w większym towarzystwie poczujesz się swobodniej.

- Kogo zaprosiłaś?

- Laure Morrison. To twoja sąsiadka.

- Znam Laure.

- Doskonale. I tak jest za dużo jedzenia jak na dwie osoby. Poza tym mam wobec niej dług wdzięczności za paprocie.

- Powinienem się domyślić, skąd pochodzą.

- Była dla mnie bardzo miła. No i doradziła mi, co zrobić z bratkami. - Pod wpływem impulsu pogłaskała go po policzku. - Ty też byłeś dla mnie bardzo miły. Dziękuję, że uwolniłeś mnie od pajaka.

- Zawsze do usług. A tak przy okazji, Natasza nie jest dobrą kucharką. Powiedziałem to, bo chciałem odwrócić twoją uwagę.

- Naprawdę? - Ellie z wyrazem powątpiewania na twarzy pokręciła głową, po czym odwróciła się, bo Laura zapukała właśnie do kuchennych drzwi i weszła do środka.

- Nikt nie otwierał, pomyślałam więc, że jesteście w ogrodzie. - Skinęła głową w stronę Bena. - Słyszałam, że przeżyłeś nerwowe chwile?

- Nie ma o czym mówić, ciociu Lauro. Ellie popatrzyła na Bena, a potem na Laure.

- Ciociu?

- Matka Bena była moją najstarszą siostrą, a ja jestem jego matką chrzestną. Oczywiście, to ty zaprosiłaś mnie na kolację, Ellie. Gdybym czekała na zaproszenie mojego siostrzeńca, umarłabym z głodu.

- No cóż - wyjąkała zażenowana Ellie. - Właściwie nie można tego wykluczyć, ponieważ to ja dziś gotuję. Może przejdziemy do ogrodu obejrzeć paprocie, a Ben tymczasem przygotowuje ci drinka?

Gdy wychodziły na zewnątrz, Ben usłyszał jeszcze:

- Jak tam twoje plecy, Lauro?

Ellie nie miała pojęcia, że Laura była jego ciotką ani że stosunki między nimi były trochę napięte. Ciotka nie kryła radości, kiedy Natasza wybrała Nowy Jork.

Fakt, że Laura przyjęła zaproszenie Ellie, narażając się na pewien dyskomfort, oznaczał, że naprawdę polubiła tę dziewczynę. A to nie lada sztuka. Ciotkę było bardzo trudno zadowolić, czego Natasza doświadczyła na własnej skórze.

Ellie to naprawdę niezwykła kobieta, pomyślał Ben, wyjmując szklanekę z kredensu i nalewając ciotce drinka. Zaczynał dochodzić do wniosku, że życie bez niej będzie potwornie nudne.

Podążając za dźwiękiem donośnego głosu ciotki, odnalazł kobiety w dawnym ogrodzie warzywnym.

- Czy on nadal kontaktuje się z tym patyczakiem? - spytała Laura. Ben przystanął i schował się za żywopłotem. - No wiesz, z Nataszą.

- Nie wiem, Lauro.

- Mam nadzieję, że nie. Żadna kobieta nie powinna być tak doskonała. To zbrodnia przeciw naturze. - Ellie roześmiała się, ale Ben odniósł wrażenie, że nie do końca szczerze. - Mężczyzna, który będzie miał pecha ją pokochać, zawsze pozostanie w tyle.

- A jeśli będzie z tym szczęśliwy?

- Na krótką metę. Każdego w końcu to znudzi, nie sądzisz? Taka kobieta potrzebuje kochanków, nie męża.

- Myślę, że z zewnątrz trudno ocenić, co jest kluczem do udanego małżeństwa.

Laura roześmiała się.

- Rzadko się zdarza, by ktoś tak taktownie osadził mnie na miejscu. Ale masz rację. To nie moja sprawa. A teraz opowiedz mi o ogródku ziołowym...

Ben dołączył do nich i podał Laurze wysoką szklanę z czystą whisky, bez wody i lodu.

- Ogródek ziołowy? - spytał. - Czy to oznacza kolejną wyprawę do centrum ogrodniczego, Ellie?

- A jesteś gotów zaryzykować? - Wykorzystała możliwość zmiany tematu. - Jeśli nie chcesz psa, być może będę musiała ocalić chomika...

Laura uniosła pytająco brwi, a Ellie zaczęła rozwodzić się nad ich ostatnią wizytą w centrum ogrodniczym, opowiadając szczegółowo o misji ocalenia królika oraz o heroizmie, z jakim Ben budował wybieg. Ubarwiała każdy szczegół, a Laura śmiała się tak, że o mało nie upuściła drinka.

Ellie uśmiechnęła się do Bena szeroko, po czym nagle wykrzyknęła:

- Kurczak! - I pobiegła do kuchni. Laura zerknęła na siostrzeńca.

- Naprawdę jest urocza.

- Owszem.

- Chodźmy sprawdzić, czy udało się jej ocalić naszą kolację - powiedziała, biorąc go pod rękę.

Ellie zdążyła w ostatniej chwili. Dodała do sosu miód i trochę wody. Spróbowała.

- Czy według ciebie nie czuć trochę spalenizną? - spytała zakłopotana Laure, podsuwając jej odrobinę sosu do spróbowania.

- Dodaj nieco brandy. Pomaga na wszystko. Ale to jest dobre, naprawdę. Karmel powinien mieć gorzkawy posmak.

- Naprawdę? - Ellie dołała brandy i spróbowała jeszcze raz. Smakowało lepiej.

Godzinę później, po skończonym posiłku, siedzieli, uśmiechając się do siebie.

- Wcale nieźle, Ellie - pochwalił Ben. - Jesteśmy królikami doświadczałnymi, ciociu Lauro. Ellie ma zamiar ugotować tę potrawę na urodziny swojej siostry.

Laura zerknęła ciekawie.

- Masz siostrę?

- Stacey. Na szczęście dla moich rodziców nie jest do mnie podobna. Jest starsza ode mnie, a zdrowy rozsądek ma zapisany w genach.

- Nawet jej imię jest takie rozsądne. Ellie brzmi bardziej żywiółowo. To zdrobnienie? Od Ellen, Eleanor?

Ellie poczuła się niezręcznie. Ale chyba Laura nie należała do tego typu kobiet, które kupują „Milady”...

- To skrót od Gabriella - powiedziała. W obecności Bena nie mogła skłamać. - Czy ta cytrynowa świeca działa? Nie pogryzły was komary?

- Mnie nigdy nic nie gryzie - powiedział Ben.

- Mnie też nie. Mam skórę jak hipopotam.

- Jeszcze jedną brandy, ciociu Lauro?

- Nie, dziękuję, mój drogi. Nie dam rady. Chciałabym już się położyć.

- Odprowadzę cię do domu - zaproponowała Ellie.

- Pójdziemy oboje - dodał Ben.

Przed drzwiami Laura pocałowała Bena, a potem Ellie.

- Wpadnij do mnie wkrótce, milady. Mamy wiele do obgadania.

Ben wziął Ellie pod ramię.

- O co jej chodziło?

- Nie wiem... - Myśli wirowały w jej głowie. To oczywiste, że Laura odkryła jej sekret. Dlaczego, do licha, nic nie powiedziała? Ellie odwróciła się.

Laura machała do nich ręką.

- W porządku - powiedział Ben. - Wiem, że wcześniej czepiała się Nataszy. - Spojrzał z góry na Ellie. - I wiem, że ją powstrzymałaś.

Ellie uchwyciła się tej niespodziewanej liny ratunkowej.

- Dlaczego z nią nie pojechałeś, Ben? Do Nowego Jorku?

Ben zatrzymał się.

Do diabła! Ta dziewczyna znów się zagalopowała.

- Chciała tego? - naciskała. Nie zaprzeczył.

- To by się nie udało, Ellie. To nie byłoby partnerstwo dwojga ludzi zmierzających do jednego celu. Być może mieszkalibyśmy razem, ale nie bylibyśmy razem.

- Ale jeślibyś ją kochał...

- Zerwanie z nią nie było łatwe. - Ben uśmiechnął się posepnie. -

Powiedziała, że jestem żalonym samcem, który nie potrafi poradzić sobie z jej sukcesem.

- Nie znała cię tak dobrze, jak ty ją.

- Może. A może miała rację. Wiedziałem, że byłbym tylko widzem w jej życiu, zamiast żyć moim własnym. Może silniejszy mężczyzna potrafiłby sobie z tym poradzić. Wtedy zdałem sobie sprawę, że kobiety muszą sobie radzić z takimi sytuacjami od wieków.

- Ona chciała mieć wszystko.

- Jej prawo.

- Nie kwestionuję tego. Ale kobiety zawsze za to płacą.

- To narusza polityczną poprawność, Ellie.

- Czyżby? Ja po prostu jestem realistką.

- Nie wierzysz w prawdziwą równość płci?

- To stanie się faktem, kiedy mężczyźni zaczną rodzić dzieci.

- A, o to chodzi. Gdyby Natasza została ze mną, życie żony nauczyciela akademickiego szybko by ją znudziło. Poczułaby się złapana w pułapkę macierzyństwa. Przypuszczam, że tak naprawdę żadne z nas nie potrafiłoby ustąpić. A to jest podstawowy test na miłość, nie uważasz? Nie wtedy, kiedy ktoś dla kogoś umiera, to tylko jednorazowy akt poświęcenia. Chodzi o gotowość do codziennych poświęceń, dzień po dniu, przez całe życie.

ROZDZIAŁ ÓSMY

- Dziękuję, Ellie. Nie odpowiedziała.

Ben opuścił ramię i przez kilka chwil szli w milczeniu. Ellie była pogrążona w myślach.

- Dziękuję za wspaniały wieczór.

Ciekawe rozmowy, śmiech, intymny nastrój - takie wieczory wyeliminował ze swojego życia. Doszedł do wniosku, że łatwiej żyć w samotności. Lepiej zatopić się w pracy.

- Ziemia do Ellie! Halo! - zażartował.

- Co? Och, przepraszam - odparła lakonicznie, a przecież wydawało się, że miło spędziła czas.

- Bez obaw, możesz przygotować taką kolację dla swojej siostry.

- Och, tak... Nie miałam pojęcia, że Laura jest twoją ciotką. Wiedziała, że mieszkam w Wickham Lodge, ale nie powiedziała ani słowa. Gdybym...

- Nie ma problemu. Już dawno powinienem był się z nią pogodzić. Lepiej, że stało się to dziś, przy kolacji, niż gdyby przyszło nam stanąć z nią twarzą w twarz w sobotę, na ślubie. Nie wiedziałbym, co powiedzieć.

- O, za to Laura zawsze wie, co powiedzieć - zauważyła Ellie.

- I zwykle to mówi, czy chcesz słuchać, czy nie. Pójdiesz ze mną na ten ślub?

- Jeśli sobie życzysz - odparła, ale myślami szybowwała gdzieś daleko.

- Czy to będzie z twojej strony duży wysiłek? - naciskał Ben, próbując przywrócić ją do rzeczywistości.

- Co? - Odwróciła się do niego i wreszcie się uśmiechnęła. - Wysiłek? Och, proszę... - Jej śmiech był ciepły, ale Ben nie dał się zwieść. - Czy jeśli kobieta dostaje idealny pretekst do kupienia nowego kapelusza, potrafi się opierać?

- Kapelusz? Muszę go zobaczyć.

Ellie zerknęła na niego, a potem, jakby rozczarowana, dała upust swoim emocjom.

- Oni chcą dla ciebie tego, co najlepsze. Wiesz, twoja rodzina.

- To prawda. - Zerknął na nią. - Właściwie dlaczego porzuciłaś sztukę, Ellie?

- Kto powiedział, że ją porzuciłam? - odparła, zbyt pospiesznie. - Nadal rysuję.

- Kiedy?

- Cały czas. Po prostu gryzmołę... - Weszli do holu. - Co za bałagan! - krzyknęła Ellie na widok kuchennego stołu. Chwyła kieliszek i przytrzymała przed sobą jak naturalną tarczę, być może w obawie, że skoro Ben już raz ją pocałował i nie został odtrącony, może uznać, że dostał zielone światło.

Nie mogła na to pozwolić.

To, że jej pożądał, to jego problem, nie jej.

A Ben potrzebował czasu, by przyzwycząić się do myśli, że faktycznie pożądał innej kobiety. Poczucie winy, że dał się uwieść jednemu pocałunkowi, że zdradził nie Nataszę, ale samego siebie, zalało go jak spiętrzona fala.

Chwył Ellie za nadgarstek i wyjął z jej ręki kieliszek.

- Zostaw to, Ellie, ja pozmywam.

Znów poczuł ciepło jej skóry, znajomy, ziołowy zapach szamponu... Kosztowało go sporo wysiłku, by ją puścić i odmówić sobie niewinnego pocałunku w policzek.

Cóż, wiedział, że nie byłoby to takie niewinne.

Postąpił krok w tył, robiąc jej przejście do drzwi.

- Do jutra, Ellie. Jeśli nie będziesz zbyt zajęta, może pojedziemy do centrum ogrodniczego? Skoro naprawdę myślisz o odnowieniu starego ogródka ziołowego...

- Och, w tej sprawie nie wyszłam jeszcze poza sferę myśli - powiedziała. - Poza tym... To nie mój ogród. Nie mogę, ot tak, robić ci bałaganu.

- Do tej pory nie miałaś skrupułów.
 - Do tej pory chodziło tylko o zasłony, paprotki... I o dużo więcej.
- Ellie wyglądała na bardzo nieszczęśliwą, więc Ben zrezygnował z żartów.
- W porządku, Ellie. Jeśli nie chciałbym zmian, powiedziałbym ci.

Zresztą, odnowa ogródka to żaden bałagan.

Wzruszyła ramionami.

- Potrzebny byłby plan, jakiś projekt...
- To twoja rola. Możesz przecież naszkicować.
- Nie mam zielonego pojęcia o ogrodnictwie.
- Tak samo jak o gotowaniu. Razem na pewno sobie poradzimy.

Ellie wiedziała, że nie zaśnie. Nie chciała jednak rozmyślać, a wpatrywanie się w pusty ekran w oczekiwaniu na słowa, które nie przychodziły, też nie przyniosłoby ulgi. Od czasu, kiedy zaczęła prowadzić rubrykę w „Milady”, próby napisania czegokolwiek innego okazywały się kompletną startą czasu.

Wyciągnęła szkicownik, wzięła cienki pisak i zwinęła się na sofie.

Kiedy poszukiwała zielonych przysmaków dla swoich zwierząt, odnalazła w ogrodzie obok zarośniętej ceglanej ścieżki ślady dawnych grządek z ziołami. Właśnie wtedy przyszło jej do głowy, że przywrócenie dawnej świetności ogródkowi ziołowemu mogłoby posłużyć jako temat do następnego felietonu.

Początkowo zamierzała wykorzystać wiedzę Laury, ale teraz to nie wchodziło w grę... Laura z pewnością miała w ręku numer „Milady” z felietonem o paprotkach, dodała dwa do dwóch i domyśliła się wszystkiego.

W każdym razie wygląda na to, że całą pracę trzeba wykonać samodzielnie. Przynajmniej planowanie. Co do reszty, cóż, Ellie spodobał się pomysł, by pracować ramię w ramię z Benem - jak przy szykowaniu kolacji. Zapowiadało się atrakcyjnie.

Przez chwilę skupiła się nad planem, od czasu do czasu szukając w wypożyczonej z biblioteki książce informacji o roślinach, których posadzenie

zasugerowała Laura. Po chwili jednak doszła do wniosku, że brakuje jej kolorów. Rzuciła się do małego kufierka, w którym trzymała różne zdawało się niepotrzebne rzeczy, i znalazła pudełko pasteli. Dostała je dawno temu w prezencie od matki.

Dwa rzędy prawie nieużywanych kolorowych kredek! Przesunęła po nich palcami, wdychając miły zapach.

Wybrała kolory i nanosiła je na kartkę, mieszała, dobierała. Już po chwili widać było efekty. Niebieskozielony, pokryty jakby szarym puszkciem - kolor lawendy i rozmarynu, ostry pomarańcz, żółć i biel - oddające oślepiający blask dzbanka nagietków, wreszcie blady róż dla płożącej się macierzanki.

Na drugiej kartce pojawił się kuchenny stół zastawiony miseczkami z przyprawami i innymi składnikami dzisiejszej, gotowanej razem z Benem kolacji, ciemnoczerwony garnek z kutego żelaza, błyszczący od ognia na kuchence.

Trzeci rysunek przedstawiał stolik nakryty dla dwóch osób, przykryty wykrochmalonym, niebieskim obrusem, z białą świecą pośrodku.

A potem, w kolejnym ujęciu, ten sam stół, ze zmiętymi serwetkami, okruszkami, nadpaloną świecą i ręką Bena trzymającą kieliszek. Reszta jego postaci była poza planem, ale oczami wyobraźni Ellie widziała go siedzącego na krześle i uśmiechającego się do Laury.

Rysowała, wyrywała kartki i rzucała je na podłogę. Obrazy zatrzymane w pamięci wprost wylewały się na papier.

Narysowała widok ogrodu ze swojego okna - ganek obrośnięty glicynią, rower oparty o poręcz.

Miękkie, ciepłe, brzoskwiniowe kolory cegieł Wickham Lodge. Imitacja średniowiecznej wieżyczki. Poskręcane szare łodygi i niebieskie kiście kwiatów na tle dachu. Detal balustrady, mebel, który polerowała i знаła tak dobrze jak własną rękę, miękkie fałdy szala leżącego na sofie, portrety ludzi, dla których pracowała... Wreszcie bezlitosne kredki wyczarowały Seana, leżącego na jezdni,

w małych słuchawkach na uszach, z ręką na zakrwawionym nagłówku gazety obwieszczającym zwycięstwo United w lidze.

- Jak mogłeś? - zawołała, a z jej oczu popłynęły łzy, rozmywając rysunek.

- Jak mogłeś być tak bezmyślny? Jak śmiałeś umrzeć?

Zaniosła się płaczem. A potem nagle, w strasznej ciszy usłyszała poranny śpiew ptaka. Zdumiona spojrzała w okno i zobaczyła jaśniejące niebo. Usłyszała kroki i odwróciła się. W drzwiach stał Ben ubrany tylko w krótkie bokserki, w starych tenisówkach wsuniętych na gołe stopy.

- Lisica zakradła się do ogrodu - powiedział, jakby to wszystko tłumaczyło. - Nie może dostać się do klatki, ale ona jest podobna do ciebie, Ellie, nie rezygnuje. Wszedłem ją przepędzić i zobaczyłem światło. Nie spałaś całą noc?

Nie musiał pytać. Wciąż miała na sobie wczorajsze ubranie - dżinsy i podkoszulek.

Odłożyła szkicownik na kolana, potarła twarz rękami, rozluźniła ramiona.

- Która godzina?

- Po piątej. Skinęła głową.

- O tej porze zwykle wstaję - powiedziała, próbując znaleźć jakąś dobrą stronę tej sytuacji.

- Nie możesz sobie dziś odpuścić?

Ellie zamrugła powiekami. Czyżby wyglądała aż tak źle?

- Nie mogę. Ludzie na mnie czekają.

- Raz poradzą sobie bez ciebie. - Podszedł i ukląkł przed nią. - Ty też możesz raz poprosić o przysługę.

Ellie usiłowała patrzeć gdzie indziej, by zignorować jego szerokie, opalone ramiona i nagą klatkę piersiową. Tylko pomarszczona blizna na ramieniu psuła efekt estetyczny - była świeża, dopiero zaczynała blednąć.

- To nie takie proste - powiedziała, powstrzymując chęć przeciągnięcia po niej palcem. - O dwunastej muszę odebrać Daisy Thomas z przedszkola. Nikt nie może tego zrobić za mnie. To musi być ktoś, kogo znają.

- Daj mi numer Sue. Zadzwońię do niej i powiem, że odbierzesz Daisy, ale rezygnujesz z wszystkich innych zleceń.

- Nie...

- Nie masz wyboru, Ellie. Idź do łóżka i prześpij się trochę. Obudzę cię. Ellie wiedziała, że miał rację. Nie dałaby rady podnieść ścierki do kurzu, nie mówiąc już o odkurzaczu.

- Obiecujesz? Jeśli się nie obudzę...

- Masz moje słowo, Ellie. Nie zawiodę cię.

Rzeczywiście, wyglądał niezwykle wiarygodnie. Był prostolinijny, uczciwy i szczerzy. W przeciwieństwie do niej.

- Numer Sue znajdziesz na wizytówce Pracowitych Pszczółek. Przypięłam ją na tablicy.

- Poczekam, aż się położysz.

- Poradzę sobie... - Usiłowała się poruszyć, ale nogi się pod nią uginały, a ręce miała kompletnie sztywne.

Ben wziął od niej szkicownik, starając się nie patrzeć na rysunek przedstawiający Seana. Nie mógł jednak nie usłyszeć słów Ellie.

- Byłam na niego zła - powiedziała. - Nie tylko z powodu mleka...

Nieoczekiwanie Ben przypomniał sobie, jak zezłościł się na Nataszę, kiedy bez porozumienia z nim umówiła się na kolację z jakimiś politykami z Europy Wschodniej i zamówiła stolik w orientalnej restauracji. Tymczasem on, po całym dniu ciężkiej pracy, pragnął jedynie usiąść przed kominkiem. Pozornie była to jednorazowa sprzeczka, niewarta, by ją pamiętać, ale z perspektywy czasu nabierała znaczenia symbolicznego.

- Nigdy nie chodzi tylko o mleko, Ellie - powiedział. - Dla niego rzuciłaś studia plastyczne, prawda?

- Rzuciłam je dla siebie. Byliśmy jednością: Ellie i Sean. Sean i Ellie. Zawsze we dwoje. Od dziecka. Nie miał prawa tak się obchodzić ze swoim życiem!

Zwłaszcza że ona poświęciła swoje marzenia, by mogli żyć długo i szczęśliwie.

Ellie popatrzyła na rysunek - była to bardziej impresja niż realistyczny obraz. W przeciwieństwie do ładnych, spokojnych obrazków, które zaśmiewały teraz podłogę, ten wyrażał wściekłość, ból i stratę.

- Czy kiedykolwiek leciałaś balonem, Ellie? Nie w przenośni, ale naprawdę?

Długo milczała, aż wreszcie skinęła głową.

- Zabrałam prochy Seana i rozsypałam je nad Downs. Zbyt późno. Wszystko odkładaliśmy na później...

- Daj sobie spokój, Ellie.

Ben odłożył szkicownik, wyjął kredkę z jej bezwładnych palców, po czym wstał i pomógł jej się podnieść.

Zaprowadził ją do sypialni, odsunął kapę i posadził Ellie na łóżku, ale ona bezwładnie opadła na poduszki.

- Dżinsy, Ellie - powiedział. - Nie możesz przecież spać w spodniach.

Odpiął pasek, rozebrał ją, przykrył i pocałował w policzek.

Ellie wtuliła głowę w poduszkę, jakby chciała odciąć się od światła i świata.

Mógłby zaciągnąć zasłony, ale Ellie zdjęła ciężki plusz i udrapowała okno miękką, przejrzystą firanką. Łóżko przykryła ręcznie robioną narzutą w niebieskim odcieniu i w ogóle urządziła pokój po swojemu.

Obok łóżka stała srebrna ramka. Ben popatrzył na fotografię.

Ze zdjęcia spoglądał uśmiechnięty Sean.

Miał wszelkie powody...

Ben patrzył jeszcze przez chwilę na Ellie. Spała kamiennym snem. Wyszedł więc z sypialni poszukać numeru do Sue, ale ponieważ było jeszcze za wcześnie na telefon, najpierw zaczął zbierać rysunki. Oglądał je uważnie, a potem starannie układał na kupkę.

Uważnie oglądał rysunek z martwą naturą - stół po skończonym posiłku, ręka mężczyzny spoczywająca na serwetce, palce otaczające kieliszek. Trudno jest narysować ręce, ale Ellie poradziła sobie doskonale. Odtworzyła z pamięci najdrobniejsze detale. Ben dotknął prawie zapomnianej blizny, o której przypomniał mu rysunek Ellie.

Była naprawdę utalentowana. Nawet jeśli chciała być blisko Seana, mogła przecież kontynuować studia na wydziale sztuki tutejszego uniwersytetu.

Co ona powiedziała? Coś o zdroworoządkowym wyborze... Ben popatrzył jeszcze raz na rysunek, nie mogąc wyjść ze zdumienia, że ktoś uznał anglistykę za najrozsądniejszy wybór.

A może pisała równie dobrze, jak rysowała?

Rozejrzał się uważnie po pokoju, ale nic nie rzuciło się mu w oczy. Trudno, nie będzie przecież grzebać w jej szufladach.

Wziął rysunek ogródka ziołowego i po chwili wahania szkic domu, a pozostałe kartki starannie ułożył na stoliku obok sofy. Następnie znalazł wizytówkę Pracowitych Pszczółek i zszedł na dół.

- Sue Spencer, w czym mogę pomóc? - Głos był rzeński, mimo wczesnej pory. Widocznie Sue Spencer pracowała równie ciężko jak ludzie, których zatrudniała.

- Mówi Ben Faulkner z Wickham Lodge. Dzwonię, żeby zawiadomić, że Ellie nie będzie dziś w pracy.

- Jest chora? - W głosie Sue usłyszał szczerzy niepokój.

- Po prostu nie spała całą noc... - Zabrzmiało to dwuznacznie, więc dodał:
- Pracowała.

- Pisała? - W słuchawce rozległo się głębokie westchnienie.

- Nie, rysowała.

- Rysowała? - Na chwilę zapadła cisza. - Co rysowała?

- Wszystko i nic. Szkice - rzeczy, mebli, ludzi. Zdziwiająco dokładny rysunek domu.

- Och, ona zakochała się w tym domu od pierwszego wejrzenia.

- Naprawdę?

Właściwie nie był zdziwiony. Dom wyglądał teraz zupełnie inaczej niż w czasach, kiedy zajmowała się nim pani Tuner. Bibeloty nie leżały w uporządkowanych rządkach, tylko w artystycznym nieładzie, wszędzie były kwiaty. Ten dom wreszcie wyglądał jak dom.

- Znalazłem ją w niezbyt dobrym stanie o piątej rano.

- Och, mój Boże! Jak teraz się czuje?

- Jest wyczerpana i śpiąca. Wymogła na mnie obietnicę, że ją obudzę na czas, żeby odebrała Daisy Thomas.

- W porządku. Proszę jej powiedzieć, że znajdę zastępstwo na resztę dnia. I... niech weźmie wolne do końca tygodnia, dobrze?

- Powiem, ale nie mogę obiecać, że posłucha.

- Może poskutkuje, jak powiesz, że jej nie zapłacę, nawet jeśli się pojawi.

- Ale czy uwierzy? Sue roześmiała się.

- Nieźle ją znasz, Ben.

- Do tego jeszcze daleko. Wpadnij dziś wieczorem i powiedz jej to osobiście. Na pewno będzie chciała z kimś porozmawiać. Z kimś, komu ufa.

- Nie wiem, czy jestem właściwą osobą. Zamknęła się w sobie w ostatnich miesiącach. Przestała mówić o czymkolwiek, nawet o pisaniu. - A ponieważ Ben nie odpowiedział, Sue zdecydowała się: - Masz rację. Przyjdę. I, Ben...

- Tak?

- Dziękuję, że się nią zaopiekowałeś.

- Żaden problem - rzekł. - Panno Spencer...

- Sue, proszę.

- Zgoda, Sue. Czy to dobry znak, że Ellie znów rysuje?

- To z pewnością przełom. Jak dużo ci powiedziała?

- O zmarłym mężu, który chciał się przelecieć balonem, o tym, że porzuciła pracę w szkole, by napisać powieść, i że studiowanie sztuki nie było rozsądnym wyborem.

- Tak dużo?

Wyraźne zdziwienie w głosie Sue sprawiło, że Ben poczuł się uprzywilejowany.

- Czy on był zazdrosny? O jej talent?

- Sean? On ją uwielbiał.

- Nigdy w to nie wątpiłem. Ale to nie jest odpowiedź na moje pytanie.

- Ona też go uwielbiała.

W to Ben również nie wątpił, ale kiedy usłyszał to od kogoś, kto znał Ellie od lat i znał Seana, poczuł jednocześnie ulgę i ból.

- Być może w tym rzecz - powiedział.

- Ellie?

Wynurzając się z mrocznych czeluści snu, Ellie przez chwilę nie potrafiła sobie przypomnieć, gdzie jest. Bolała ją głowa, piekące oczy nie chciały się otworzyć, tak samo jak każdego ranka przez te wszystkie miesiące, kiedy usypiał ją płacz. Wyskakiwała wtedy z łóżka i przyklejała uśmiech do twarzy, a potem stawała przed klasą, jak gdyby nigdy nic.

- Prosiłaś, żebym cię obudził... Ben!

Usiadła, nagle kompletnie rozbudzona, chwyciła budzik i próbowała odczytać godzinę. - Masz jeszcze masę czasu.

- Zadzwońeś do Sue? - Przeczesiła palcami splątane włosy, obejrzała pobrudzone pastelami ręce, po czym spuściła nogi z łóżka.

Dopiero wtedy zdała sobie sprawę, że ma na sobie jedynie podkoszulek i majtki. Trudno. Nie zamierzała się tym przejmować.

Ben widział już jej gołe nogi wcześniej, kiedy wyglądała o wiele atrakcyjniej. Dzisiejszy widok na pewno go nie podnieci.

- Rozmawiałem z Sue. Powiedziała, żebyś wzięła wolne do końca tygodnia na odzyskanie sił.

- Odzyskanie sił? Co ty jej, na litość boską, nagadałeś?

- Sama ją spytasz. Przyjdzie cię odwiedzić wieczorem.

- Och! - Ellie unikała Sue. Przyjaciółka czytała w niej jak w otwartej książce; od razu domyśliłaby się wszystkiego. - Teraz jestem naprawdę zaniepokojona.

- Daj spokój. Przyniosłem ci herbatę i tosty.

- Nie mam czasu - powiedziała. - Muszę już iść. Powinieneś wcześniej mnie obudzić. Potrzebuję dwudziestu minut, żeby zdążyć.

- Ale tylko pięciu, jeśli pojedziesz samochodem. Potrząsnęła głową.

- Nie trzeba... - Przełknęła ślinę. - Gdybyś mnie obudził...

- Zrobiłem to. Masz pół godziny. Nie spiesz się. Ben wyszedł. Nie dał się sprowokować.

Bez niego pokój nagle stał się okropnie pusty.

Ellie po drodze do łazienki uszczknęła odrobinę grubo posmarowanego masłem tosta, ale kiedy spojrzała na swoje odbicie w lustrze, od razu straciła apetyt.

Włosy w nieładzie, palce i paznokcie pokryte kolorową skorupą, różnobarwne smugi na czole, na policzkach i na szyi. Wzdrygnęła się.

Wyrzuciła tosty do kosza na śmieci i rozprostowała ręce. Bolały ją stawy.

Przypomniała sobie dzisiejszą szaloną noc, obrazy wypływające z jej ręki wprost na papier i Bena, który wyjął kredkę z jej dłoni, a potem zaprowadził do sypialni. Reszta była pustką.

Ellie rozebrała się i weszła po prysznic. Usunęła z ciała barwy wojenne, osuszyła włosy ręcznikiem, ubrała się i w dziesięć minut była na dole, z twarzą pokrytą jedynie lekkim kremem nawilżającym, w podkoszulku z krótkimi

rękawami i prostej spódnicy, która stanowiła część jej mundurka nauczycielki. Wilgotne włosy związała z tyłu w koński ogon.

Kiedy weszła do kuchni, Ben podniósł się z krzesła.

- Nie trudź się. Nie jestem inwalidką. Naprawdę jestem w stanie dojść do przedszkola.

- Nie twierdzę, że nie jesteś w stanie, ale myślę, że moglibyśmy pojechać potem do centrum ogrodniczego i zjeść tam lunch. Daisy obejrzy zwierzęta, a my kupimy sadzonki. - Trzymał w ręce plan, który narysowała nocą. -

Wykonałaś już kawał roboty - powiedział i dodał:

- Oczywiście, jeśli uważasz, że dziewczynka będzie szczęśliwsza w domu...

Ellie potrząsnęła głową.

- Zamierzałam przygotować kanapki i zabrać ją na spacer nad rzekę. Miałyśmy karmić kaczki, kupić lody...

- Nie ma czasu na robienie kanapek. A kaczki na pewno nie głodują. Zresztą lody też dostaniemy w centrum ogrodniczym - przekonywał Ben.

- Wiem, że jesteś zajęty... - Ellie próbowała go zniechęcić.

Zajęty? Ben rozważał to słowo.

- Ten tekst czekał na mnie ponad pięć tysięcy lat - powiedział. - Nie sądzę, by jedno popołudnie więcej zrobiło dużą różnicę.

- Skoro tak uważasz.

- Tak właśnie uważam.

Kiedy wszystko zostało ustalone, wsiedli do starego morrisa Adeli. Ben poczekał, aż Ellie zapnie pas, i powiedział:

- Oczywiście, oczekuję czegoś w zamian. Ellie zeszywniała.

- Och!

- Uspokój się, Ellie, twoja cnota jest bezpieczna. - Uśmiechnął się szelmowsko i włożył kluczyk do stacyjki.

- Narysowałaś mój dom.

- Widziałeś? - spytała, a rumieniec odpłynął z jej twarzy. Do licha, naruszył jej prywatność.

- Wiem, nie powinienem oglądać twoich rysunków - rzekł szybko, by nie wybuchła gniewem. - Po prostu zebrałem je z podłogi. Nie dało się nie spojrzeć... Naprawdę rzucały się w oczy. - Ellie nie odezwała się, więc ciągnął dalej: - Zawsze mi się podobały domy oplecione kwitnącą glicynią...

- Kwitnąca glicynia? - spytała, a Benowi wydało się, że złość z niej wyparowuje. - Och, narysowałam to wczoraj w nocy?

O co jej chodzi? Czyżby ten akurat rysunek powstał wcześniej?

- To zwykle bazgroły, Ben.

- Jestem pewien, że Picasso mówił to samo, rysując na papierowych serwetkach.

- Na pewno nie. Picasso znał swoją wartość. W każdym razie ja na pewno nie jestem Picassem.

- Mogę więc dostać ten obrazek?

- To wszystko, czego chcesz?

To, oczywiście, nie było wszystko, ale Ellie była tak niespokojna, że Ben nie chciał dłużej się droczyć.

- To wszystko. Na razie. Wzruszyła ramionami.

- Jest twój.

- Dziękuję.

Powinna spojrzeć na niego i uśmiechnąć się, tymczasem zerknęła na swój zegarek, choć miała zegar na desce rozdzielczej, i powiedziała:

- Czas ruszać, Ben.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Obawy Ellie, że Daisy będzie wstydić się Bena, okazały się płonne. To on podniósł dziewczynkę, żeby wybrała sobie lunch, on trzymał ją za rękę, kiedy oglądali króliki, i on zrywał dla niej listki, by mogła powąchać, kiedy zwiedzali szkółkę ziół.

- Nie ma sensu kupować na sztuki - zauważyła Ellie, biorąc doniczkę z melisą z rąk Bena. - Jeśli naprawdę chcesz odnowić ogródek zgodnie z moim projektem, potrzebujesz mnóstwa sadzonek. - Spojrzała do góry. Daisy ufnie wtulała główkę w zagłębienie ramienia nowego opiekuna. Ellie niespodziewanie poczuła pod powiekami łzy. - W dodatku nie mają tu wszystkiego, czego potrzebujemy - dodała, z trudem opanowując emocje. - Tylko tracimy czas.

- Może powinniśmy zwrócić się do jakiegoś specjalisty? My? Ileż było obietnicy w tych słowach. I... ile bólu!

- Nie! - zaprotestowała gwałtownie.

Ben popatrzył na nią zamyślony; jego przejrzyste, niebieskie oczy widziały zbyt wiele. Ellie potrząsnęła głową.

- Nie to miałam na myśli... - Nigdy nie sądziła, że sprawy zajdą aż tak daleko. Tak się skomplikują. - Nie musisz.

- Ogród był zaniedbany przez wiele lat, podobnie zresztą jak dom. A kiedyś to była pasja mojej matki... Zaprojektowała go razem z babcią.

Ellie zmarszczyła czoło.

- Twoja matka też tu mieszkała?

- Ona i mój ojciec razem dorastali. Jak ty i Sean.

Nie, nie mogła rozmawiać teraz o Seanie. Jeśli pozwoli mu wślizgnąć się do swoich myśli, będzie wiedział, że pocałowała Bena, co więcej - że ona chciała tego pocałunku.

- Twój ojciec nigdy nie myślał o powtórny małżeństwie?

- Nigdy ze mną na ten temat nie rozmawiał. Był bardzo skrytym człowiekiem - odparł Ben, a po chwili namysłu dodał: - Laura chyba miała nadzieję, że on kiedyś w końcu ją zauważy. Tak przypuszczam. Dlatego nigdy nie wyszła za męż.

- Biedna Laura.

- Życie nie jest takie... proste. Po śmierci matki ojciec bezpowrotnie stracił radość życia. Trzymał się jakoś, dopóki nie uznał, że dorosłem i poradzę sobie bez niego. Potem całkiem odpuścił

- Musiało ci być ciężko - powiedziała Ellie. - Wam wszystkim.

- Jakoś sobie poradziliśmy. Niańki, gosposie. No i zawsze była Laura. - Ben zerknął na Daisy. - Masz ochotę na loda, panienko?

Dziewczynka zaśmiała się, więc postawił ją na ziemi.

- Idź i wybierz sobie, jakiego chcesz.

- To nie jest dobry pomysł. Zobaczysz, że wybierze różnokolorowe świństwo na patyku, nafaszerowane sztucznymi barwnikami.

- Och, nie psuj jej zabawy. O której mamy ją odwieźć do domu?

- Jej matka wraca do domu zwykle około czwartej. Dwa razy w tygodniu jeździ do szpitala na dializę.

- Niewydolność nerek? - Ben spojrzał ze smutkiem na Daisy.

Ellie doskonale zrozumiała - to samo przydarzyło się jego matce.

- Czeka na transplantację.

- Mój ojciec oddał matce swoją nerkę. Niestety, organizm odrzucił przeszczep. Ojciec nigdy ze mną o tym nie rozmawiał. Adela mi powiedziała.

Ellie nie wiedziała, co odpowiedzieć.

- Medycyna poszła naprzód - odezwała się w końcu.

- Tak - zgodził się Ben i natychmiast dodał: - Czwarta? Mamy mnóstwo czasu. Możemy pojechać nakarmić kaczki.

Ale najpierw wszyscy dostali czerwono-zielono-żółte lody na patyku.

- Zawsze chciałem takiego spróbować - powiedział z czarującym uśmiechem Ben.

- Jesteś kłamcą, Benie Faulkner. I zobaczysz, będziesz miał zafarbowany język.

- Takie właśnie jest życie z tobą, Ellie March. Każdego dnia nowe doświadczenie.

Sue przyjechała o ósmej, taszcząc ogromną pizzę.

- Nie zjemy wszystkiego...

- Duża z anchois! - oznajmiła, stawiając na stole pudło i butelkę wina. - Właściwie kupiłam największą, ponieważ myślałam, że będzie Ben.

Ellie też tak myślała. Miała nawet nadzieję, że kiedy odwiozą Daisy, będą mogli dłużej porozmawiać. Chciała mu wszystko wyznać, przyznać się, że pisze do „Milady”, powiedzieć, że rysunki jego domu ukazywały się co miesiąc w magazynie.

Ale Ben wysadził ją przy bramie i oświadczył, że ma jeszcze coś do załatwienia. Z pewnością chciał przywrócić odpowiedni dystans między nimi. Zwłaszcza po ostatniej nocy i po tym pocałunku...

Ellie na samo wspomnienie poczuła przyływ ciepła i rozchyliła usta. Gdy zdała sobie sprawę, że Sue dziwnie na nią patrzy, szybko wróciła do rzeczywistości.

- Słyszałam, że odbyliście dziś rano miłą pogawędkę - powiedziała szybko.

- Wyłącznie o tobie. A co? Piekły cię uszy?

- Moje uszy, podobnie jak cała reszta, spały - oświadczyła, a potem, ponieważ myślała, że Sue i Ben o niej rozmawiali, była jednak denerwująca, dodała: - Czy powinnam się obawiać?

- Nie. Jestem chodzącą dyskrecją.

- W moim życiu nie ma nic, co musiałabyś ukrywać.

- Wiem. Jesteś moim wielkim rozczarowaniem. Ale pokładam nadzieję w Benie. Łakomy kasek. Inteligentny, przystojny. Pisze książki...

- Sprawdziłaś na stronie internetowej uniwersytetu?

- Wyłącznie w twoim interesie.

- No, powiedz resztę, nie trzymaj mnie w napięciu. - Rozmowa o Benie była jednak łatwiejsza niż tłumaczenie się przed Sue z ostatniej nocy.

Sue odkorkowała butelkę i napełniła kieliszki.

- Strona uniwersytecka jest ciekawa, ale zrobiłam to w poczuciu koleżeńskiej solidarności, sprawdziłam go również w wyszukiwarce.

- Jesteś naprawdę wścibska!

- Chcesz mi powiedzieć, że nigdy nie uległaś pokusie?

- Chcę ci powiedzieć, że się oparłam.

- Ciekawe, czego się obawiałaś?

Ellie nie odpowiedziała. W gruncie rzeczy nigdy nie przyszło jej do głowy sprawdzać Bena w internecie. Wiedziała, że Benedict Faulkner był wybitnym naukowcem. Poinformowała ją o tym jego siostra. Była również świadoma, że badał starożytne języki i pisał o nich książki naukowe. Opasłe tomy stały rzędem na jego półkach. Jeśli kiedykolwiek wyjęłaby któryś z nich i odkurzyła, zobaczyłaby fotografię autora na okładce.

- Wiedziałaś, że wyprowadził przez góry grupę uchodźców z Kirbekistanu?

- Powiedział mi tylko, że ich grupa stamtąd wyszła.

- Wyszła? Czy ty zdajesz sobie sprawę, co to było? Jedna kobieta, która była w tej grupie, udzieliła wywiadu jakiejś popołudniówce. Wprawdzie na pierwszy rzut oka można się zorientować, że się w nim zadurzyła, ale nie ulega wątpliwości, że ten facet jest bohaterem.

- Och, daj spokój. Wierzysz we wszystko, co napiszą tabloidy! - zaprotestowała Ellie. Oczywiście, ona też bez trudu mogła uwierzyć, że jakaś

kobieta zakochała się w Benie. A on? Cóż, on kochał tylko swoją perfekcyjną Nataszę.

Ellie poczuła przyływ wszechogarniającej zazdrości. Przez chwilę nie potrafiła myśleć ani słuchać. Zacisnęła pięści i zamknęła oczy.

- Ellie?

Uniosła powieki i zdała sobie sprawę, że Sue dziwnie się jej przygląda.

- Dobrze się czujesz?

- Ciągle jestem trochę zmęczona. Przepraszam, co mówiłaś?

- Nic. Po prostu dziwię się, dlaczego nadal tu jesteś. Przecież nie musisz już opiekować się domem.

- Ben niedługo znów wyjedzie. - Ellie odsunęła na bok kosmyk włosów. - To duży dom. Rzadko się widzimy.

- Ale rozmawiacie, nie zaprzeczysz?

- Nie zamierzam - odparła z godnością, po czym wpychając kawałek pizzy do ust, by zyskać na czasie, zastanawiała się, co takiego Ben nagadał Sue.

- Znasz mnie - powiedziała, kiedy przełknęła i upiła łyk wina. - Nigdy nie wiem, kiedy skończyć mówić i on zawsze mnie zaskakuje, gdy jestem całkiem bezbronna.

- I jak daleko udało się mu dotrzeć?

Dużo dalej niż Sue mogła sobie wyobrazić. Ten pocałunek... Ellie zdała sobie sprawę, że Sue patrzy na nią, podejrzliwie mrużąc oczy.

- Stłukłam sobie kolano - powiedziała. - Podrzucił mnie do pracy, to wszystko - wyjaśniła, a ponieważ wiedziała, że Sue pozwoli na zmianę tematu tylko wtedy, kiedy się ją rozbawi, wzruszyła ramionami i dodała: - Nie licząc kompostu.

- Kompostu? - powtórzyła Sue. - I królika. I ziołowego ogródka.

- Królika?! W porządku. Wróć. Zaczynaj od początku.

- Od podwiezienia? To nic takiego. Ben przestraszył mnie, spadłam z drabiny, szczęśliwie wylądowałam na nim... - opowiadała, a kiedy doszła do

momentu, w którym okulary Bena rozpadły się w jej rękach na kawałki, Sue płakała ze śmiechu.

- Nie wierzę ci, nie wierzę...

- To szczerą prawdą! Każde słowo. - No, prawie każde. Ale dlaczego psuć dobrą historię ścisłym trzymaniem się prawdy? - W każdym razie, kiedy mnie poturbował, nie miał wyboru, musiał mnie podnieść, opatrzyć i zawieźć do pracy...

- Opowiedz teraz o tym króliku - zachęciła Sue.

- Och, potrzebowałam trochę kompostu do paproci, więc Ben zabrał mnie do centrum ogrodniczego. Przecież nie dałabym rady przytargać worków na rowerze.

- Oczywiście.

- A kiedy tam byłam, poszłam obejrzeć króliki.

- Pamiętam, że zawsze chciałaś mieć królika, ale twoja mama się nie zgodziła.

- Tak, takiego małego czarnego.

- I kupiłaś?

- Rogera. I Nigela. To świnka morska. Ben wybudował im wybieg.

- Ben wygląda na bardzo ustępliwego faceta - skomentowała Sue.

- Och, tak, nawet je moje potrawy.

- Gotujesz dla niego?

- Nie dla niego. - Ellie zaśmiała się.

Zdziwienie Sue było zrozumiałe. Ellie nie gotowała nawet dla Seana. Sean był w kuchni lepszy od niej.

- Musiałam na kimś wypróbować jedno danie...

Nie wiadomo, jak to się stało, ale w końcu otworzyła się przed Sue. „Milady”. Felieton. Lady Gabriella...

- Poczekaj! - przerwała jej przyjaciółka, otwierając szeroko oczy ze zdumienia i ignorując całkowicie niezwykle istotny fakt, że Ellie była teraz

felietonistką w sławnym, ogólnokrajowym magazynie. - Chcesz powiedzieć, że nie tylko przekonałaś tę panią Cochrane, że jesteś lady Gabriellą March... - Sue zaznaczyła w powietrzu cudzysłów - ale też, że masz troje dzieci?!

Ellie wyjaśniła jednym tchem:

- Stacey pożyczyła mi swój kostium. Wyglądałam dostojnie.

- I tak musiałabyś wyjść za mąż, mając osiemnaście lat. W dodatku musiałabyś być w ciąży już w dniu ślubu. - Nagle Sue uświadomiła sobie, że to zawsze było marzeniem Ellie. - A nasz bohaterski Ben wie, że gra rolę fikcyjnego męża lady Gabrielli?

- Nie wie. Szczerze mówiąc, wszystko zaczęło się, zanim Ben wrócił do domu... Poza tym mój tytuł jest honorowy.

- Co to znaczy?

- Że należy do mnie i nie ma nic wspólnego z fikcyjnym mężem. To znaczy, że mój ojciec jest hrabią lub kimś takim.

- No to masz kłopot, Ellie March - powiedziała Sue, uśmiechając się szeroko i krojąc następny kawałek pizzy.

- Nie dziwię się, że nie możesz zasnąć.

- To zdarzyło się tylko raz. Słuchaj, co ci właściwie powiedział Ben?

- Tylko tyle, że spędziłaś bezsenną noc. - Sue uśmiechnęła się. - Zachował się jak prawdziwy dżentelmen. Kiedy zdał sobie sprawę, że mogłabym go źle zrozumieć, dołożył wszelkich starań, by mi wyjaśnić, że nie chodziło o jakąś nocną hulankę.

Zresztą taka myśli nigdy nie przyszlaby mi do głowy, co, gdy się dobrze zastanowić, jest smutne. Cóż, nie prowadzimy rozrywkowego życia.

- Przez chwilę w milczeniu jadła pizzę, a potem dodała:

- Spytał mnie o Seana.

- Tak? - Ellie nie potrafiła określić uczucia, które ją ogarnęło. Poczula skurcz żołądka, dreszcz satysfakcji, że Ben chciał dowiedzieć się czegoś o

mężczyźnie, którego kochała, ale również irytację, że wtrącał się w nie swoje sprawy. - Co chciał wiedzieć?

- Czy Sean był zazdrosny o twój talent.

- Co takiego!? To oburzające!

Sue chwyciła butelkę i napełniła kieliszki.

- Jestem przekonana, że on niepokoi się o ciebie. Widział twoje rysunki - wtrąciła, jakby to mówiło samo za siebie. - Spójrzmy prawdzie w oczy, nikt z nas nie rozumiał, dlaczego wybrałaś angielski zamiast sztuki.

- To nie było skomplikowane. Chciałam mieć zwyczajne życie, Sue.

Poślubić Seana, mieć dzieci.

- Mogłaś uczyć historii sztuki.

- Nie mogłam. - Ellie nie chciała o tym więcej myśleć ani mówić. Szybko zmieniła temat: - Ben poprosił, żebym poszła z nim w sobotę na rodzinny ślub.

- Tak?

- Oczywiście tylko dlatego, żeby ludzie nie pomyśleli, że jest smutnym facetem, który nie ma dziewczyny. Albo ukrytym gejem.

- A nie jest nim, prawda?

- Nie! - zaprzeczyła gwałtownie, a widząc uśmiech na twarzy Sue, pożałowała swojej gorliwości.

- Więc idziesz jako kto? Ellie March czy lady Gabriella?

- Jako ja - odparła.

- Założysz parę gumowych rękawic i podkoszulek z nadrukiem

Pracowitych Pszczółek?

Ellie schowała nową parę gumowych rękawic do plecaka. Benowi dobrze by zrobiło, gdyby pojawiła się w nich w sobotę rano!

Sean i zazdrość, myślała. Oczywiście, ludzie mogli tak uważać, rozważała, wyprowadzając rower z szopy. Ruszyła w tej samej chwili, kiedy ciężarówka, zawracając od bramy, zaczęła cofać się w stronę kuchennego ogrodu.

- Hej! - krzyknęła Ellie zmuszona do gwałtownego skrętu. - Dokąd jedziesz?

Kierowca zatrzymał się i wyjrzał przez okno.

- Wykonujemy roboty porządkowe na zlecenie pana Faulknera. Mamy szansę na filiżankę herbaty, zanim zaczniemy?

- Obudźcie pana Faulknera i spytajcie go.

Nie czekała na odpowiedź. Nawet nie wiedziała, czy Ben jest w domu i nie zamierzała sprawdzać. Zamówił pracowników, więc niech im sam szykuje herbatę i ciasteczka. Odjechała, ignorując przeciągły gwizd, który podążył jej śladem.

- Kretyn! - mruknęła pod nosem. Prace porządkowe?

Naprawdę zamierzał odnowić ziołowy ogród?

Przez cały długi dzień, nadganiając prace, których nie wykonała wczoraj, Ellie nie mogła przestać rozważać swojej sytuacji.

Postanowiła nie kontynuować rubryki w „Milady” po upływie sześciomiesięcznego kontraktu.

Źle się czuła w tej roli. Zwłaszcza teraz, kiedy opowiedziała o wszystkim Sue. Nagle zobaczyła sprawę w całkiem nowym świetle. Sytuacja stawała się niezręczna, a nawet niebezpieczna. Poczucie sukcesu gdzieś się ulotniło.

Ciągle jednak miała do napisania trzy felietony. O zarośniętym ziołowym ogródku już napomknęła. To był na szczęście mniej osobisty temat i w zgrabny sposób kończyłby cykl ogrodowy.

Gdy koło czwartej wróciła do domu, ciężarówka już odjechała.

Weszła prosto do kuchennego ogrodu, by sprawdzić, co zostało zrobione, i zobaczyła Bena, który siedł w stronę dopalającego się w rogu działki ogniska. Na drugim krańcu ogrodu czekały na posadzenie rozłożone na paletach setki sadzonek.

- Szybko działasz, doktorku - powiedziała.

- Laura znalazła mi firmę, która uporządkuje teren. I szkółkę ziół.

- To była ta sprawa, którą miałeś do załatwienia wczoraj wieczorem?
Spodziewała się pytania o felieton w „Milady”, ale Ben spytał o co innego.

- Czyżbyś za mną tęskniła?

A więc Laura nic mu nie powiedziała.

- Sue tęskniła. Chciała sprawdzić, czy pasujesz do swojego internetowego wizerunku. - A ponieważ nie skomentował, dodała: - Będziesz miał mnóstwo roboty.

- To był twój pomysł, Ellie. Mam nadzieję, że mi pomożesz.

- Ja? Nie mam pojęcia o ogrodnictwie.

- Tym bardziej ja, ale to nie może być trudne. Robisz dziurę, wsadzasz w nią roślinę... Aha, mam coś w komórce na narzędzia, co może nam pomóc.

- Alana Titchmarcha w celofanie? - spytała z nadzieją. - Naszego ulubionego telewizyjnego ogrodnika?

Na ławie w komórce leżało duże pudło. Ellie rozwiązała ozdobną wstążkę i podniosła wieko. Zobaczyła stalową gracę, którą zachwyciła się podczas pierwszej wizyty w centrum ogrodniczym. Podniosła ją, zważyła w ręce, sprawdziła gładkość wypolerowanej, drewnianej rączki. To było naprawdę piękne narzędzie.

Doskonały podarunek.

Obietnica partnerstwa, wspólnej pracy. Nadzieja na dalszy pobyt w tym domu.

Odwróciła się.

- To piękne, Ben. Dziękuję. - Nie wiadomo, jak to się stało, ale objęła go za szyję i pocałowała.

Spontaniczny, dziękczynny pocałunek. Trudno by go uznać za cokolwiek innego. Ale Ben niespodziewanie schwycił ją w talii i nie pozwolił, by się odsunęła.

Miał na policzku smugę popiołu drzewnego. Ellie dotknęła jej ręką.

Na moment świat wokół umilkł i znieruchomiał. Dopiero po chwili powietrze wypełniło się na powrót zwykłymi dźwiękami - kos zagwizdał, trzasnęły drzwi samochodu, zawarczała kosiarka.

Ellie zobaczyła drobne zmarszczki rozchodzące się półkoliście z kącików oczu Bena. Nie był to jeszcze uśmiech, ale jego obietnica. A oczy... Nieprawdopodobne oczy, wydawały się widzieć wszystko, nawet jej myśli. Nie, nie tylko myśli, również uczucia.

Przeleć się balonem, Ellie...

Te słowa rozbrzmiewały w jej głowie. To był głos Seana...

Oczy Ellie błyszczały od łez, kiedy całowała Bena Faulknera, tym razem wolno, zmysłowo, tęsknie.

Ben przyciągnął ją bliżej, otulając naturalnym zapachem spalonego drewna, czystego potu, ciężkiej fizycznej pracy. Jego pocałunki nabrały siły, gwałtowności, jakiejś mocy, która przenikała każdą cząstkę jej ciała. Czowała, jak wszystko w niej mięknie i topnieje, a serce zaczyna bić coraz szybciej. Ben obejmował ją jedną ręką, a drugą - suchymi, szorstkimi od pracy w ogrodzie palcami - gładził jej policzek i włosy. Potem ujął jej głowę w dłonie. Ellie pożądliwie oplotła ramionami jego szyję i ufnie otworzyła usta, czekając na kolejny zmysłowy pocałunek. Pragnęła tego.

Upuściła gracę. Ben posadził ją na ławce, podciągnął podkoszulek i pochylił się. Przeciągnął językiem po kolczyku w pępku.

- Ben!

Spojrzał na nią.

- Pragnąłem tego od pierwszej chwili, kiedy tylko cię ujrzałem.

Podciągnął podkoszulek wyżej. Odsłonił piersi i pieścił je poprzez cienką koronkę stanika.

Ellie wstrzymała oddech, a gorąca rozkosz ogarnęła jej ciało wezbraną falą.

- Ben... - wyszeptała jego imię. - Ben.

Czyżby odezwało się oszukańcze echo? Nie. Ben znieruchomiał. Bez słowa wyprostował się i obciągnął Ellie koszulkę.

- Podstawowe zasady ogrodnictwa, lekcja pierwsza, Ellie - powiedział kpiąco. - Zawsze zamykaj drzwi komórki. - Potem odwrócił się niespiesznie do nieoczekiwanego gościa. - Witaj, Nataszo.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Jeszcze przed chwilą Ellie czuła się wspaniale, jak potężna, wszechwładna Matka Ziemia.

Teraz, w konfrontacji z tą wytworną i wyniosłą Królową Śniegu wydała się sobie żalosna i byle jaka.

Nie mogła tego znieść.

- Wybacz, doktorcu - powiedziała, chwytając grację. - Mam masę roboty.

- Ellie, poczekaj! - Ben chciał pójść za nią, ale Natasza położyła swoją białą, wypielegnowaną dłoń na jego ramieniu.

- Zostaw tę biedną dziewczynę, Ben - niemal rozkazała i zaśmiała się z cicha. - Naprawdę źle z tobą, skoro padasz na kolana przed pomocą domową w ogrodowej komórce. Stanowczo zbyt późno przybywam z misją ratunkową.

Ellie nawet się nie zarumieniła. To było coś więcej niż zakłopotanie. Nie traciła czasu, by usłyszeć, co Ben zamierza odpowiedzieć. Musiała się gdzieś wyładować. Niewinna ziemia nie poczuje bólu.

Zamrugła powiekami, starła coś z policzka, przegoniła Millie, która niemal w ekstazie skubała kwiatek, i energicznie chwyciła paletę z sadzonkami.

Melisa. Nie musiała patrzeć na etykietkę.

Otarła łzę. Nie, nie wolno jej płakać. Rozejrzała się dookoła. Zaprojektowała przecież ten ogród, wiedziała więc, co robić.

Obsadziła już pół grządki melisą, kiedy przyłączył się do niej Ben. Nie odezwał się ani słowem; po prostu przeniósł paletę z sadzonkami na obrzeże grządki, wbił starą gracę w ziemię z większą siłą, niż to było konieczne, wykopał dołek, wsadził do niego roślinę i uklepał ziemię. Powtarzał tę czynność, ani na chwilę nie przerywając.

- Co dalej? - spytał Ben, kiedy skończyli z melisą.

- Rozmaryn.

Jednocześnie sięgnęli po tę samą sadzonkę. Dłoń Bena zamknęła się wokół dłoni Ellie.

- Przepraszam.

- Nie przepraszaj! - Spojrzeli na siebie. - To nie twoja wina, Ben. Nie masz za co przepraszać. To ja...

- Co ty?

- Rzuciłam się na ciebie. Aż strach pomyśleć, co by było, gdybyś podarował mi łopatę. - Usiłowała się zaśmiać. Bez skutku.

Ben podniósł jej podbródek i zmusił, by na niego spojrzała.

- Nie przepraszałem za pocałunek, Ellie, tylko za to, że stałaś się przedmiotem kpin Nataszy...

- Myślała, że nadal za nią szalejesz - powiedziała Ellie. - To musiał być dla niej szok, kiedy złapała cię in flagranti w komórce. Zwłaszcza z pomocą domową. - A potem, nie mogąc się powstrzymać, spytała: - Po co Natasza przyjechała?

- Odrzuciłem ofertę pracy, którą zaproponowało mi UNESCO. Projekt dotyczył skatalogowania badań nad starożytnymi językami. Natasza miała nadzieję, że zmienię zdanie.

- I dlatego przyleciała z Nowego Jorku?

- Tak, bo to ona zgłosiła moją kandydaturę.

- Wyobrażam sobie, jak musiała się zirytować. To fantastyczna propozycja.

- Prawda? - Ben wyjął sadzonkę z jej ręki. - Podróże, bezpodatkowe wynagrodzenie, prestiż i od czasu do czasu spotkania z Nataszą w jej apartamencie w nowojorskim lofcie. Nie mogła zrozumieć, dlaczego to odrzuciłem. Była naprawdę zdumiona.

- A dlaczego to zrobiłeś?

- Nie wyjadę stąd. - Spojrzał na roślinę, potem na Ellie.

- To jest mój dom. Tu chcę żyć.

- Ona nie jest tym zainteresowana?

- Nie złożyłem jej takiej propozycji. Właściwie nie zaoferowałem jej niczego poza wezwaniem taksówki. Chciała, byśmy zjedli razem kolację, ale kiedy wyjaśniłem, że nie skończyłem sprawy z „pomocą domową”, ostatecznie zrezygnowała.

- A więc miałam rację. Nie można mieć wszystkiego. Prawie mi jej żal.

- Tylko prawie? To mało jak na najbardziej miękkie serce w Manchesterze. - Odłożył roślinę do pojemnika.

- Myślę, że wystarczy na dziś. Spryskasz rośliny, a ja odniosę narzędzia, zgoda? - Potem dodał: - Możemy dziś zjeść we włoskiej restauracji za rogiem. Lubisz włoską kuchnię?

- Uwielbiam. - Och, było jej wszystko jedno! Kuchnia tajska, japońska, francuska, hot dog z budki na przydrożnym parkingu...

Podniosła wąż do podlewania, nacisnęła spust i... nic.

- Jak to działa?

- Musisz najpierw odblokować, odkręcając mniejszy zawór - wyjaśnił Ben.

- Tak? - Ellie zrobiła, co kazał.

Woda buchnęła potężnym strumieniem - orzeźwiający, lodowaty prysznic. Ben roześmiał się głośno. I to był jego błąd. Ellie odwróciła się do niego bez namysłu. Wstrzymał oddech, zbyt zaszokowany, by coś powiedzieć. Dopiero po chwili osłupienia rzucił narzędzia i puścił się za nią w pogoń po

ogrodzie. Ellie uciekała z krzykiem i śmiechem, ale Ben złapał ją i pociągnął za sobą na ziemię.

- Poddaję się - pisnęła, kiedy przewrócił ją na plecy i przygniótł mokrym ciałem do miękkiej trawy.

Pomyślała, że umrze, jeśli jej nie pocałuje, a potem - że umrze, jeśli to zrobi.

Usta Bena opadły gwałtownie na jej usta.

Po chwili podniósł głowę i spojrzał na nią oczami niemal czarnymi z pożądania.

- Ellie? - Jej imię zabrzmiało jak pytanie, dręczące pytanie o przyzwolenie. Dawał jej wybór. Czas na przemyślenie. Ale ona nie chciała myśleć...

- Jako twój więzień... - Głos jej się rwał, tak samo jak oddech. To było całkiem nowe doświadczenie. Przez ostatnie trzy lata zdawało się jej, że biegnie, że po śmierci Seana zaczęła nowe życie. Ale był to bieg w miejscu. A może w kółko?

Nie mogła tkwić dłużej w uzależnieniu od czegoś, co przeminęło. Od przeszłości. Musi się od niej oderwać i ruszyć ku przyszłości.

Odchrząknęła.

- Ponieważ jestem twoim więźniem - powiedziała niskim głosem - masz obowiązek pozwolić mi się przebrać, zanim umrę z zimna.

- Czyżbyś traciła głos? Może powinnaś wziąć gorący prysznic? - spytał i dodał z leniwym uśmiechem: - Pod ścisłym nadzorem.

Kiedy widziała jego uśmiech, nie potrzebowała gorącej wody.

- Boisz się, że ucieknę?

- Nie jestem gotowy na takie ryzyko.

- Lepiej może skorzystajmy z twojego prysznica. Jest... większy.

- Hm, mniejszy prysznic - odparł - ściślejszy nadzór.

- Możemy spróbować obu.

Kiedy weszli do domu, zadzwonił telefon. Zignorowali go. Zrzucili mokre ubrania i ruszyli w stronę łazienki. Wtedy uruchomiła się automatyczna sekretarka.

- Tu Ben Faulkner i Ellie March - zabrzmiał głos Bena. - Zostaw wiadomość dla któregoś z nas po usłyszeniu sygnału.

- Kiedy to nagrałeś? - Ellie przystanąła zdumiona.

- Czy to ważne?

Niesamowicie ważne. Zanim jednak zdążyła się nad tym zastanowić, kobiecy głos przerwał jej myśli.

- Ellie, tu Becky Thomas. Dzwonili właśnie ze szpitala, że mają dla mnie nerkę. Moja mama jest w Kalifornii w odwiedzinach u mojej siostry. Jack pojechał do Szkocji na spotkanie i nie może wrócić do jutra rana...

Ben podniósł słuchawkę.

- Będziemy za chwilę, Becky - powiedział.

- Ben... - Ellie chciała go przeprosić.

- W porządku, Ellie. - Jego pocałunek, długi i słodki, był zadatkami na przyszłość. - To może poczekać.

Dopiero po weekendzie życie wróciło do jako takiej normalności. Ellie zamieszkała z Daisy, żeby ojciec dziewczynki miał więcej czasu na odwiedziny u żony w szpitalu.

Ben przyniósł jej laptopa, mogła więc przynajmniej pisać do swojej rubryki.

Właśnie mieli zjeść razem lunch. Ellie podała spaghetti z sosem pomidorowym.

- Prawie jak we włoskiej restauracji, do której w końcu nie dotarliśmy - zażartowała, kiedy zobaczyła Bena w drzwiach, i zaraz zarumieniła się, zawstydzona własną śmiałością.

- Oczekiwanie to połowa przyjemności.

- Nie wiem, czy moje jest równie smaczne.

- Jesteś moją radością i udręką. - Ben dotknął jej policzka, ale szybko cofnął dłoń i zacisnął palce, jakby nawet taka drobna pieszczota była za dużą pokusą.

- Może rozerwiesz się na ślubie? Wybierasz się?

- Nie mam wyboru. Będę wszystkim opowiadać, że moja dziewczyna nie mogła przyjść, ponieważ jest aniołem miłosierdzia.

Jego dziewczyna...

Ellie skończyła felieton, w którym opowiedziała czytelniczkom o odnowieniu ogrodu ziołowego, a potem, zamiast go wysłać, napisała długi list do Jennifer Cochrane z wyjaśnieniem, dlaczego nie będzie w stanie kontynuować współpracy po upływie sześciomiesięcznego kontraktu.

Zaczynała cztery razy.

Była tak przyzwyczajona do pisania jako lady Gabriella, że wyjście z roli i bycie sobą sprawiało jej nie lada kłopot. Ostatecznie wyznała całą prawdę. Bez żadnych usprawiedliwień.

Na koniec gorąco przeprosiła panią Cochrane i jej czytelniczki, proponując zwrot swoich honorariów.

Od razu wysłała list mejlem w obawie, że mogłaby zmienić zdanie. A kiedy mosty zostały spalone, zaczęła poszukiwać w internecie akademii sztuki dla dorosłych.

Minęły jeszcze trzy dni, nim matka Becky przyleciała z Kalifornii, by zaopiekować się Daisy. Ellie mogła wreszcie wrócić do domu.

Ben prosił, by po niego zadzwoniła, ale wolała się przejść i poukładać sobie wszystko w głowie. Ojciec Daisy obiecał podrzucić jej rzeczy po drodze ze szpitala, mogła więc odbyć długi spacer, a nawet przysiąc na chwilę na ławce nad rzeką.

Wyznanie poczynione pani Cochrane było zaledwie pierwszym krokiem. Musiała jeszcze porozmawiać z innymi ludźmi. Z rodzicami, z kolegami z klubu pisarskiego, a przede wszystkim z Benem. On powinien poznać prawdę, zanim

złoży jej jakąś propozycję. Nawet tak błahą jak kolacja we dwoje we włoskiej restauracji.

Jakiś samochód stał zaparkowany przed domem. Do licha, rozmowa z Benem będzie musiała poczekać. No trudno, nie ma wyjścia.

Ellie podeszła do kuchennych drzwi i została prawie przewrócona przez młodego psiaka, który niespodziewanie wyskoczył z koszyka. Masa kędzierzawego, czerwonego futra, długie chwiejne nogi i kręcący się, miękki jak puch ogon.

- Hej, przystojniaku! Skąd się tu wziąłeś?

Ellie wyprostowała się w nadziei, że zobaczy Bena, ale drzwi były zamknięte.

- W porządku, wracaj do koszyka! - Starła się sforsować drzwi tyłem, odpychając psa. Wreszcie się udało.

Ellie, śmiejąc się, ruszyła do gabinetu Bena. Zatrzymała się na chwilę przy stoliku w holu, by przejrzeć pocztę i zauważyła swój rysunek przedstawiający dom. Wisiał pięknie oprawiony na wysokości wzroku.

Wzruszona wyciągnęła rękę i dotknęła ramki. Tak bardzo mu się podobał?

W tej samej chwili otworzyły się drzwi do salonu.

- Ben...

- Masz gościa, Ellie. - Jego twarz była bez wyrazu, dokładnie taka sama jak w dniu, kiedy go poznała. - Jennifer Cochrane.

To zabrzmiało jak pytanie w rodzaju: czy naprawdę znasz tę kobietę?

Ellie zakryła usta ręką, by powstrzymać jęk. Zamierzała mu wszystko powiedzieć, wytłumaczyć, miała nawet nadzieję, że go rozbawi. Niestety, spóźniła się...

Jennifer Cochrane stała przy oknie i patrzyła na ogród. Odwróciła się, kiedy Ellie otworzyła drzwi. Z uśmiechem wskazała ręką wielki dąb i powiedziała:

- Czy to właśnie tam Oliver miał domek na drzewie?

- Tak... - Ellie przełknęła ślinę i powtórzyła: - Tak.

- Może go zbudujemy?

Wiedziała, że Ben stoi za nią, ale nie śmiała podnieść na niego wzroku.

- Zbudujemy? - Zmarszczyła czoło. - Po co?

- Wyjaśniłam właśnie Benowi, że planujemy poświęcić sierpniowy numer dziecięcym przyjęciom. Pomyślałam, że wykorzystamy te cudowne namioty do zabawy, które robi twój przyjaciel. Nasz redaktor kulinarny wynajdzie jakieś tradycyjne przepisy...

- Ale tu nie ma dzieci - powiedziała Ellie. - Ani męża - dodała. - Nie otrzymała pani mojego listu? Nic pani nie rozumie? Napisałam mejla, wszystko wyjaśniłam...

- Droga Gabriello, być może jestem stara, ale na pewno nie jestem głupia. Kiedy spytałam cię o twój tytuł, a ty w odpowiedzi zaczęłaś płatać się bezradnie, zdałam sobie sprawę, że nie jest on niczym więcej jak pseudonimem.

- Naprawdę?

- Herbarz mam w jednym palcu. Gdybyś była córką któregoś para, znałabym na pamięć twoje drzewo genealogiczne.

- A więc dlaczego...?

- Dlaczego nic nie powiedziałam? - Jennifer zrobiła gest prawdziwej damy. - Pomyślałam, że to spodoba się naszym czytelniczkom. I miałam rację. One cię uwielbiają. A z drugiej strony, jeśli eksperyment zakończyłby się klęską, mogłabym wykorzystać twoje oszustwo jako pretekst do zerwania umowy, nie płacąc ci ani grosza. Wydawnictwo to twardy biznes. Nie powinnaś zwracać za felietony, które wydrukowałam, Gabriello. Gdybym nie miała skrupułów, a twoja rubryka nie odniosłaby sukcesu, mogłabym na to przystać.

- Proszę wziąć pieniądze. Nie chcę ich!

Przez chwilę pani Cochrane czuła się niezręcznie. Ale opanowała się i oświadczyła:

- Wiesz, Ellie, mam nadzieję, że mogę tak się do ciebie zwracać, obydwie sprzedajemy fikcję. Ale w twoim pisaniu jest wystarczająco dużo emocji, by brzmiało prawdziwie. Już wspomniałam o tym Benowi, że twoja rubryka ożywiła nasz magazyn. Dostajemy mnóstwo listów. Wiesz, Ben pokazywał mi twój projekt ogrodu ziołowego. Jeśli planujesz wykorzystać ten temat, zaproponujemy czytelnikom promocję na kolekcję ziół. Podobna, dotycząca paproci, okazała się wielkim sukcesem.

- Och, Boże!

- Zamierzałam do ciebie zadzwonić, spotkać się i obejrzeć ogród - zakładałam, że on naprawdę istnieje - żeby zdecydować, czy będzie dobrym tłem dla dziecięcego przyjęcia. Potem dostałam twój list i postanowiłam natychmiast z tobą porozmawiać. Mam nadzieję, że zdołam cię przekonać.

- Ellie potrzebuje trochę czasu, pani Cochrane - wtrącił Ben, zanim Ellie zdobyła się na odpowiedź.

- Oczywiście. A tymczasem, czy mogę przysłać tu naszego fotografa? I zadzwonić do agencji modelek, żeby wynająć dzieci i kilka dobrze wychowanych psów?

Ben zrezygnowany machnął ręką.

- Proszę mnie powiadomić, żebym przynajmniej zdążył skosić trawę.

- Właściwie lepiej byłoby ją zostawić. Trawnik pełen stokrotek bardziej pasuje do naszego projektu. Dzieci będą mogły uwić wianki...

- A zatem zrezygnuję ze środków chwastobójczych.

- Wspaniale! Ktoś od nas przyjedzie też obejrzeć drzewo... Może uda się zbudować na nim domek. - Jennifer chwyciła swoją teczkę i skinęła głową. - Czekam na następny felieton pod koniec tygodnia, Ellie. - I dodała: - Mamy umowę.

- Zdążę na czas.

Ben odprowadził Jennifer Cochrane do drzwi. Ellie słyszała, jak ją żegnał. W poczuciu bezsilności opadła na sofę.

- Nie musiałeś tego robić - powiedziała, kiedy wrócił.

- Nie?

- Nie.

- Przecież muszę grać swoją rolę, nieprawdaż? Przykleić uśmiech, wyciągnąć królika z kapelusza. Nawet odnawiam ogród mojej matki, więc masz o czym pisać.

- Nie! - Jak mogła do tego dopuścić? - Nie, Ben. To nie tak. Nie wykorzystywałam cię. To się zaczęło jeszcze przed twoim przyjazdem. Owszem, wykorzystałam dom, on mnie zainspirował... - Ostatni egzemplarz „Milady” leżał na stoliku do kawy. Oczywiście, pani Cochrane mu go pokazała.

- Widziałeś moje rysunki?

- Widziałem. - Jego oczy zrobiły się popielate. - I co?

Ellie nie odpowiedziała.

- Nie poprzestałaś na domu, prawda, Ellie?

- Nie - wykrztusiła. - Masz rację. Ale to nie było zamierzone. Ty po prostu wcieliłeś się w rolę, którą napisałam. Lub coś w tym stylu... Jesteś takim mężczyzną, jakiego potrzebowałam. Ciepłym, szlachetnym... - Nie było już sensu niczego taić. Sytuacja stała się wystarczająco kłopotliwa. - Mężczyzną, który wybudował dla swoich dzieci domek na drzewie, który zlitował się nad królikiem... - a potem, przypominając sobie irlandzkiego setera, dodała: - I nad psem. - Odzyskując pewność siebie, ciągnęła dalej: - Mężczyzną, który opatrzył pewnej kobiecie kolano i podrzucił ją do pracy, chociaż przysparzała mu samych kłopotów. Który przeprowadził przez góry uchodźców... Jesteś bohaterem, Ben, ale nie fikcyjną postacią, tylko człowiekiem z krwi i kości. Wkroczyłeś do mojego życia i wypełniłeś pustkę.

Po tych słowach w pokoju zapadła długa cisza. W końcu Ellie odważyła się spojrzeć na Bena.

- Czy naprawdę weszłaś do gabinetu Jennifer Cochrane i przekonałaś ją, że jesteś lady Gabriellą March?

- Założyłam kostium mojej siostry - odparła. Wyglądałam prawie... normalnie. W każdym razie statecznie - mówiła. - W pierwszym felietonie cię nie było, Ben. Wtedy nie istniałeś jeszcze nawet w mojej wyobraźni. Wyobrażałam sobie, że jesteś zgrzybiałym staruszkiem... Na miłość boską, kto by pomyślał, że ktoś to kupi? Nikt nie chciał mojej powieści... Dalej! - niemal krzyknęła. - Nie krepuj się. Śmieję się głośno.

- Dlaczego miałbym się śmiać? - Ben przykucnął obok sofy.

- A co? Nie jesteś w nastroju do śmiechu? - Ellie potrząsnęła głową. - W porządku. Smutne jest tylko to, że właśnie zamierzałam ci powiedzieć...

- Tak? - W jakiś sposób znalazł się na sofie obok niej.

- Siedziałam dziś nad rzeką i próbowałam wymyślić, jak ci to wszystko wyjaśnić...

- Już to zrobiłaś.

- Nie chodzi tylko o rubrykę, ale o to, co stało się w moim życiu. Jak się tu znalazłam.

Ben wziął ją za rękę. Tak było łatwiej.

- Gdybym wróciła do sztuki po śmierci Seana, wszyscy uznaliby, że mieli rację...

- Mówiąc, że Sean był zazdrosny o twój talent?

- Nie był zazdrosny! Był bardzo utalentowany, pisał fantastyczne wiersze. Ale jego ojciec miał małą firmę i tamtego lata, zanim Sean zdążył wyjechać na uniwersytet, dostał ataku serca. Sean musiał zostać i zająć się wszystkim. To był koniec marzeń o studiach, o poezji. Pozostały jedynie comiesięczne spotkania w lokalnym kółku pisarskim. Sean był jego gwiazdą. Jako jedyny miał publikacje w poważnych pismach literackich.

- Przykro mi, Ellie, ale dalej nie rozumiem. Dlaczego zarzuciłaś to tak całkowicie? Mogłaś uczyć sztuki tak samo jak angielskiego.

- Nie! - Wyswobodziła ręce z jego uścisku. - Sean mówił mi to samo, ale ja nie mogłam. Sztuka nie była czymś, czym chciałabym się dzielić z innymi. To

było coś, co robiłam dla siebie. - Zaciśniętymi pięściami uderzyła się w piersi. -
Tylko dla siebie. Całkowicie samolubnie...

- A więc wszystko albo nic? Zamknęła oczy.
- Wybrałaś to drugie i zostałam w Manchesterze, żeby być z Seanem.
- Nie mogłam go opuścić, Ben. Potrzebował mnie.
- Być może, kiedy żył. Ale ty nie możesz wciąż żyć dla niego, Ellie.

Musisz być sobą.

Kiedy znów chciała uderzyć się w piersi, Ben złapał ją za rękę i przyciągnął do siebie. Trzymał ją w ramionach, kołysał i pocieszał, a ona szlochała - nie tylko z powodu śmierci Seana. Płakała nad straconymi marzeniami, które sama pogrzebała.

Później, o wiele później, Ben spytał:

- A teraz, kochanie, co zamierzasz zrobić?
- Z „Milady”?
- Z życiem. Z twoim życiem, Ellie. Nie myśl o nikim innym. Bądź

samolubna.

- Chcę rozpalić ognisko - odparła. - Spalić powieść. Potem wywiążę się do końca z kontraktu z „Milady”.

- Nie chcesz go przedłużyć? Potrząsnęła głową.
- Będę zbyt zajęta. Zamierzam zapisać się na wydział sztuki w

Manchesterze. Jeśli mnie przyjmą.

- Nie wolisz spróbować w Londynie?
- Dojazdy byłyby zbyt kłopotliwe. Mam wielu podopiecznych. Millie, Rogera, Nigela...

- I Rufusa. Poznałaś już Rufusa?

- Myślałam, że nie lubisz seterów?

- On jest z rozbitej rodziny, wylądował w schronisku. A ja... pomyślałem, że powinniśmy mieć psa.

- My?

- Jestem twoim bohaterem, Ellie. Sama to powiedziałaś.
- Mam niewyparzoną gębę.
- Masz najdoskonalsze usta, jakie kiedykolwiek całowałem, ale jeśli zechcesz studiować w Londynie, zajmę się całą menażerią.
- Odprawiasz mnie? Jak Nataszę?
- Nie, Ellie. Nie jak Nataszę. Jeśli staniesz się światowej sławy artystką, będę śledził twoje sukcesy, nawet wtedy, kiedy wyjedziesz na koniec świata. Ja zostanę tutaj i będę się opiekował wszystkimi zwierzakami, wychowywał dzieci...

Ellie zakryła usta ręką.

- Powiedziałeś, żebym była samolubna...
- To prawda.
- A więc zostaję. Chcę żyć tutaj. Ze zwierzętami. Z dziećmi. Z tobą - wyznała, a potem szybko dodała: - Jesteś głodny?

- Straszliwie.

Podejrzewała, że nie miał na myśli jedzenia, ale zaciągnęła go do kuchni i otworzyła lodówkę.

- A cóż to jest?

- Tort weselny.

- Och, całkiem zapomniałam o ślubie! - Ellie wyjęła talerz. - Jak było?

- Dokładnie tak, jak przewidywałaś. Mnóstwo śmiesznych kapeluszy i łąz. Nawiasem mówiąc, pannie młodej spodobała się koza. Kazała ci powiedzieć, że to najlepszy prezent.

- Cieszę się - odparła Ellie, po czym dodała: - Ja też kupiłam sobie śmieszny kapelusz. Same wstążki i pióra w rozgniecionej malinie.

- Jaka szkoda, że nie mogłem cię w nim zobaczyć. Wzruszyła ramionami.

- Może będą jeszcze inne śluby.

- A po co czekać? Weźmy własny.

- Ślub?

- Czy to nie tradycyjny krok? Pobierzemy się i o zachodzie słońca pomkniemy staroświeckim samochodem w siną dal. Miesiąc miodowy spędzimy we Włoszech. Ty będziesz malować, ja mówić po łacinie. Czeka nas mnóstwo atrakcji, na przykład powiększanie rodziny. Zresztą ty jako ekspert od romantycznych historii wiesz najlepiej.

- Wielkie romanse niezbyt często kończą się w ten sposób, Ben.

- Po co nam wielki romans, skoro możemy mieć nasz własny? - Ben odstawił talerz z tortem na stół i wziął ją w ramiona. - Nie zwlekajmy, dobrze? - I nie czekając na odpowiedź, rozpoczął to, co kilka dni temu przerwał im natrętny dzwonek telefonu.

Nagle rozległ się brzęk spadającego talerza.

To Rufus postanowił dokończyć weselny tort.

